HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I   MARZEC 1946   NR 3

SUISSE   SZWAJCARIA   SCHWEIZ



SPIS TREŚCI

Na okładce reprodukcja drzeworytu St. Chrostowskiego

Klisze reprodukcyj drzeworytów grafików polskich zostały wykonane z książki Polish Art, Graphic Art-Textiles, by Mieczysław Treter, wydanej w Warszawie 1936.

Ilustracje do tekstów wykonał Janusz Kucharski, Fryburg.

Redakcja: Fribourg, Suisse, Case postale 247, Téléphone 2.18.92.
Compte de chèques postaux II a 3219.

HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I MARZEC 1946 NR 3

Dr Alfred Loepfe

Niemiecka gramatyka i niemiecki człowiek

Zarys semantyczny

(Tłumaczył z niemieckiego E. Lukas)

Drukując poniższy zarys z dziedziny wiedzy o mowie napisany przez dr A. Loepfego, Szwajcara, pragniemy udostępnić naszym czytelnikom ciekawe wyniki, do których dochodzi autor na podstawie swoich rozważań, opartych o najnowsze metody językoznawstwa. Przyp. red.

Mowa jest wyrazem narodowego charakteru.
Herder, Listy o rozwoju humanitaryzmu, nr 16.

Niechaj to, co istnieje, nie chce swego istnienia po twej woli — niech będzie tym, czym jest; a dobrze ci tak będzie.
Epiktet, Encheiridion VIII.

I. Subiektywna forma mowy

Mowa nie jest wyłącznie narzędziem porozumienia. Jest ona również żyjącym wyrazem psychiki i pewnego światopoglądu. Określenia te dzisiaj, w epoce badań nad fizjonomią i wszystkimi innymi przejawami życia psychicznego, należą właściwie do komunału. Zadziwiającym jest tylko to, że stosowanie wyników tych badań w odniesieniu do mowy, zwłaszcza mowy niemieckiej, wykazuje dotychczas tak nikłe rezultaty. Nie zdaje się ono bowiem wychodzić poza ramy ustalonej odmienni i metodycznego zgłębiania budowy zdania. Nie ulega wszakże wątpliwości fakt, że myślący tylko kategoriami historycznej szkoły i w niej wychowani filolodzy — jeśli przypuścimy, że w ogóle uświadamiają sobie to, iż rozwój języka pozostaje w bliskim stosunku z rozwojem życia i kultury — muszą z konieczności widzieć tak pojęte zadanie w odstraszającej postaci. Historia naturalna lodowca Jungfrau nie ma nic wspólnego z historią Szwajcarii — jednakowoż historii języka nie można w ten sam sposób pojmować. I ta jednak myśl od czasów Vosslera mogłaby już uchodzić za równie banalną.

Oprócz jednak historycznej metody, która mogłaby na podstawie ewolucji przekazanego materiału językowego w jego dzisiejszą postać zbadać współdziałające z tą ewolucją duchowe tendencje, istnieje jeszcze inna, krótsza droga. Jest ona celowo niehistoryczna i bazuje na subiektywnych *doznaniach*

mowy. Lekarz może zbadać stan mego zdrowia. O samopoczuciu jednak mogę tylko ja sam coś powiedzieć. Sąd ten będzie co najmniej tak samo ważny. Analogicznie więc nie pytam: jakie czynniki złożyły się na powstanie mojej mowy? — natomiast: co czuję, kiedy mówię i piszę, jak odczuwam składniowe możliwości tej mowy, jakie granice w myśleniu wyznacza mi ona? Wyniki tych kontemplatywnych rozważań nad istotą mowy, dostatecznie opanowanej, można nazwać subiektywną formą mowy. Ktoś, kto włada nią jeszcze bardziej subtelnie, dojdzie być może do jeszcze innych rezultatów. Jednakowoż z wielkiej liczby takich sądów można w końcu wyciągnąć wnioski, które muszą okazać się równorzędne tym, jakich spodziewa się historyczna fizjonomia mowy. Jeżeli forma mowy badanej nie pokrywa się w pełni z macierzystą formą mowy badającego — ułatwia to wówczas zbadanie jej istotnych właściwości. Dlatego też my Szwajcarzy jesteśmy predestynowani do tego rodzajów studiów. Dlaczego zarys niniejszy ma właśnie dotyczyć gramatyki? Już Humboldt wskazał był na „frapujące" możliwości synonimiki porównawczej. Dzisiaj jednak nie mówi się chętnie o synonimice. To, o czym on myślał, stanowi dzisiaj przedmiot modnej semasologii. Ale i ona nie uładzi się tak prędko z tym wszystkim, ponieważ zasób słownictwa jest olbrzymi. Ponadto jest ta gałąź wiedzy upośledzona w porównaniu do metody fizjonomicznej. Każdy obszar językowy ma jedynie częściowy udział w tworzeniu słownictwa, zaś każde indywiduum dokonuje świadomego, lub nieświadomego wyboru w materiale słownym. I tak już Goethe ustalił był listę 51 znienawidzonych przez siebie słów. To samo czyni świadomie, lub podświadomie każdy z mówiących lub piszących ludzi. Gramatyka jest natomiast powszechną i obowiązuje wszystkich. Nikt nie może prawidła gramatycznego odrzucić, albo je obejść — tylko dlatego, że mu się ono nie podoba. Niemiecka gramatyka jest potencjonalnie formą myślenia wszystkich mówiących po niemiecku, łożem prokrustowym dla zasymilowanego i człowieka mówiącego innym językiem. Jest ona wreszcie wygodnym, domowym kubrakiem autochtonów, naszą subiektywną formą języka.

II. Centrum świata

Mowa niemiecka odznacza się imponującą jednolitością swojej budowy. Cechę tę wyczuwał Fichte, kiedy podkreślał charakter tej „mowy pierwiastków". Jeżeli Francuz potrzebuje sześciu pni słownych dla oddania sześciu pojęć, określających ten sam zakres czynności: laver, buanderie, blanchisseuse, lessive, lotion, linge — to Niemcowi wystarcza tylko *jeden*: waschen, Waschhaus, Wäscherei, Wäsche, Waschung, Unterwäsche. Tego rodzaju przykładów można by przytoczyć mnóstwo. Nie upoważnia to jednak do niedoceniania francuskich możliwości tworzenia słów pochodnych. W mowie niemieckiej słowa są wzajemnie powiązane organicznie, przedrostki i przyrostki wykonują funkcje żywo odczuwane, pierwiastek słowa jest tylko odpowiednikiem nieokreślonego i luźnego zakresu zjawisk. Ponieważ rdzenna samogłoska może ponadto otrzymywać funkcjonalne zadania (przemiana) — nie będzie od rzeczy stwierdzenie, że Niemiec mówi spółgłoskami, Francuz zaś znaczeniami. Dla tego ostatniego bowiem słowo musi być symbolem jakiejś rzeczy, uświadamia on sobie jedynie symboliczną siłę połączenia dźwięków. Niemiec natomiast, filozoficznie niewykształcony, nie zdaje sobie sprawy z różnicy między słowem i rzeczą. Francuza kształci w abstrakcyjnym, pojęciowym myśleniu już jego własna mowa etymologicznie rozbita. Niemcowi brak jest takiej szkoły.

Dla poznania niemieckiego charakteru nie wynika stąd na razie żadna przesłanka (w przeciwieństwie do francuskiego), co najwyżej stwierdzić możemy pokrewieństwo tej mowy z językami starożytnymi i słowiańskimi. Każdy nie-intelektualista plącze pojęcie słowa i przedmiotu. Możemy jednak — mimo niebezpieczeństwa zboczenia na zupełnie fałszywe drogi — iść dalej po linii tego rozumowania. Jeżeli zatem Niemiec niejako już od urodzenia nie zastanawia się nad logicznym oddzielaniem symbolu pierwiastków słownych od rzeczy — mógłby wobec tego łatwo także doznania, których przyczyną są te rzeczy, uważać za absolutne i tłumaczyć je sobie jako przymioty tych rzeczy. Indyferencjonizm jego sposobu myślenia może go w tym stanie rzeczy doprowadzić do niedostatecznego odróżniania *ja* od *nie — ja*. Wszystkie te wnioski mogłyby się okazać fałszywymi, gdyby nam w tym wypadku sama mowa nie nasuwała momentów, uzasadniających ich słuszność.

Zjawiskiem, które występuje wyłącznie na gruncie niemieckiego języka, są przysłówki „*hin*" i „*her*". Przyswojenie ich uczącemu się języka niemieckiego jest trudne, ponieważ rozróżnienie obu przysłówków opiera się na podstawie, która jest obcą wszystkim europejskim systemom gramatycznym. Na określenie czynności wejścia kogoś np. do pokoju używa Niemiec terminu „*her*", albo „*hintreten*". O zastosowaniu jednego z nich rozstrzyga tylko i jedynie chwilowa pozycja mówiącego, nie zaś podmiot zdania. W ten sam sposób w procesie przedstawiania jakiegoś ruchu jest mówiący czy piszący lateralnie obecny. Nie ogranicza się on do stwierdzenia obiektywnego kierunku zmiany miejsca (do wewnątrz, na zewnątrz, do góry, na dół, poprzez jakąś przeszkodę) — ale podkreśla zupełnie niepotrzebnie własne stanowisko, nie będąc może nawet wcale zainteresowany w treści powiedzianego. Niewiele ludzi uświadamia sobie urok, jaki zyskuje przez taki właśnie sposób opowiadające przedstawianie procesów poruszania się. Jeżeli — jak się to dzieje w opowiadaniach, napisanych nie w pierwszej osobie — pierwsza osoba w ogóle nie występuje, to mimo to autor jest zawsze umiejscowiony w jakimś punkcie scenerii, podobnie jak kamera przy zdjęciach filmowych. Przez używanie przysłówków „hin" i „her" zdradza on zawsze swoje miejsce. Nie udaje się zatem poecie nigdy być zupełnie obiektywnym i usunąć w cień własną osobę. Jego własne *ja* jest zawsze obecne. Semantyk zapyta odrazu, czy nie dało by się stwierdzić owego podkreślania stanowiska mówiącego także poza zakresem miejsca, np. w dziedzinie wyrażania różnych czynności, istniejących w *czasie*.

Wielekroć dyskutowana składnia czasów, przedewszystkim zaś objaśnienia dotyczące „imperfectum" i „perfectum" opierają się właśnie na tej zasadzie. Różnice w gramatykach, dotyczące tego problemu, sprowadzają się do całkowitego zapoznania, albo tylko do niejasnego uświadamiania sobie tego kryterium. W obrębie pewnego odcinka czasu zajmuje mówiący po niemiecku stanowisko we wszystkim, o czym mówi. Może on przenieść się w przyszłość i przyszłe czynności wyrażać w czasie teraźniejszym (czego nie wolno Francuzowi lub Słowianinowi, ponieważ uważają oni własny punkt widzenia za obiektywny). Może to samo uczynić i w czasie przyszłym, jeśli sam pozostaje w teraźniejszości. Jeśli mówi o czymś, co było, dysponuje i tutaj odpowiednią swobodą. Obiera perfectum, jeśli uświadamia sobie sytuację w teraźniejszości (perfectum jest właściwie w swoich formach fleksyjnych czasem teraźniejszym). Ucieka się do imperfectum, jeśli zadaje sobie trudu, aby cofnąć się myślą

w to, co było. To ostatnie uczyni on praktycznie tylko wtedy, jeśli ten trud opłaca się, t. zn. jeżeli ma opowiadać o kilku czynnościach.

Inaczej natomiast zbudowany jest system czasów np. w języku francuskim, który wyraża obiektywne dane opowiadania, jego oddalenie, trwanie i t. d. Nie oddaje on zaś tego, jak mówiący ustosunkowany jest do przebiegu czasu. Stąd sugestywność czasów niemieckich, z jaką poeta może kierować świadomością słuchacza, nie nadaje się do czasów francuskich. Tego rodzaju kierowanie świadomością byłoby dla Francuza czymś wprowadzającym w błąd, bezwartościowym, ba nawet przeszkadzałoby mu.

W tym swoistym podkreślaniu stanowiska w przestrzeni i czasie tkwi ów światopogląd, który znamy tak dobrze z niemieckiej filozofii. Już Leibniz, a potem Kant, z pełną zaś konsekwencją dopiero Fichte i Stirner postawili byli *ja* jako woluntarystyczną zasadę na pierwszym planie swojej filozofii i teorii poznania. Krytycyzm i subiektywizm Locke'a w odniesieniu do zmysłowych doznań zmieniły się w ręku niemieckich teoretyków poznania w znany idealizm agnostyczny. Wiadomo powszechnie, jak owocnym stał się ten nowy, czysto niemiecki punkt widzenia w modnej filozofii. Nauka Kanta była wyczynem kopernikańskim. A jednak brakuje tej filozofii tego, co w terminologii jej odgrywa tak doniosłą rolę, a mianowicie *absolutu*. Świat jest ostatecznie tylko wolą i przedstawieniem *ja*. Faktycznie istnieje tylko *ja*, któremu w rezultacie przypadła rola organizowania *nie — ja*. Cały pogląd na świat, jego opis bazuje na tej zasadzie, ponieważ idea, której jednostki winny się podporządkować, jest właśnie tylko emanacją heglińskiego *ja*. Nie mógł się zatem Kant mylić. Trzeba było znowu jedynie sprzyjającej historycznej chwili, aby filozoficzny egotyzm przekształcić na narodowy solipsyzm. Dokonał tego Fichte w okresie walk wolnościowych. Nie potrzebował on już teraz regulatorów Kanta: praktycznego rozsądku i kategorycznego imperatywu. Możemy sobie przypomnieć, że narodowy socjalizm zwykł był częściej powoływać się na Fichtego, niż na Hegla.

Transcendentalny egotyzm niemieckiej myśli przewija się tak jednolicie przez reprezentatywną niemiecką filozofię, że o jego związku z opisanymi wyżej zjawiskami językowymi zaledwie można wątpić. Niemiec czuje się centrum świata, sądzi o nim z własnego punktu widzenia i kształtuje na swoje podobieństwo, które nazywa ideami.

W ostatecznym swym rezultacie reformacja Lutra, jeśli będziemy abstrahowali od wszystkich politycznych, dogmatycznych i ascetycznych zagadnień, wykazuje z tym wszystkim pewien związek. Bez Lutra bowiem nie byliby do pomyślenia Kant, Fichte i Hegel. Jednostka obcuje od jego czasów bez pośrednictwa kapłańskiego wprost z Bogiem, czyta i interpretuje samodzielnie Pismo Św., uzyskuje sama przez się zbawienie w wierze. Wiara, a zatem boska cnota najmniej zwrócona w kierunku *nie — ja*, staje się fundamentem nowej religii. Miara, według której uproszczony zostaje i zniesiony obrządek, określa postępową subiektywność religii, a dalej jej większy dynamizm. Wskazuje to na Lutra jako na zupełnie określony typ egotysty, o którym będzie jeszcze poniżej mowa.

III. Panton metron - ego. (Miarą wszystkiego — ja)

W rozdziale tym analizuje autor zjawisko t. zw. niemieckiego koniunktywu, który w żadnej mowie europejskiej nie rozwinął się w podobny sposób. Dochodzi wreszcie do wniosków, które poszerzają wywody poprzedniego rozdziału.

Wiele zjawisk w niemieckim charakterze można zrozumieć za pomocą tego samego stwierdzenia, że myślenie i doznanie niemieckie ma charakter egotystyczny, jak to już wykazuje gramatyka tego języka. Egotyzm jest jedną z trzech odpowiedzi, które może dać człowiek w interesującym go problemie *ja* i *nie — ja*. Inne indywidua (a przez to i narody) poddają się fatalizmowi, jeszcze inne znajdują harmonijne wyrównanie. Nie spotka nas chyba zarzut tendencji, jeśli to ostatnie rozwiązanie określimy jako typowe dla większości rasy anglosaskiej. Wszędzie znajdziemy ludzi, którzy nie mogą sobie dać rady z wprzęgnięciem swego *ja* w otaczającą ich rzeczywistość, a mimo to mogą oni być bardzo oddaleni od niemieckiej mentalności. Niemiecki egotyzm musi zatem cechować specjalnie surowa konsekwencja, a równocześnie niezwykle silny element woli, jeśli potrafił on zająć to tak znane w całym świecie specyficzne stanowisko. Można tu nawet uciec się do paradoksu — stwierdzając, że człowiek o egotystycznym nastawieniu jest w rezultacie mniejszym egoistą aniżeli realista, ponieważ ten ostatni, powodując się pragnieniem szczęścia, przekracza granice egoizmu.

Tak więc brakuje niemieckiemu charakterowi czegoś z instynktu w zakresie poznania i oceny rzeczy. Niemiec może jedynie polegać na swej ruchliwej inteligencji. Nie umie wżyć się w naturę; umie ją tylko jak Schelling ożywiać. W stosunku do bliźnich występuje on bez ich zrozumienia, co powoduje że w praktyce jest jednym z najbardziej kiepskich psychologów. Z wielkim trudem podporządkowuje się wspólnocie, ponieważ zanadto tkwi w swoim *ja*. Wśród Niemców jest i zawsze będzie mnóstwo dziwacznych oryginałów, jak to ich uwiecznił w swych klasycznych powieściach Wilhelm Raabe. Historyczny partykularyzm jest tylko jednym z większych przejawów tej aspołeczności. O ile te następstwa są moralnie obojętne, a nawet u niektórych osób stanowią dużą siłę atrakcyjną — o tyle egotyzm zaciążył w tragiczny sposób na stosunku Niemca do innych narodów. Psychologiczne niedociągnięcie utysiąckrotnia się. Muszą na tym tle powstawać nieporozumienia i rekoszety w bardzo zastanawiającym rodzaju. „Być wszystkim, mieć i chcieć wszystko" solipsysty tężeje w warunkach sprzyjających do rozmiarów ekspansji, a w jego szczytowym nasileniu do mesjanizmu, do teorii „Herrenmenschów", do stopnia *furror teutonicus*. Przejawiająca się w niewinny sposób próżność narodowa, którą już był Bismarck stwierdził i wykorzystał, poczciwa duma z posiadanej kultury urastają do „uświadomienia sobie Boga w niemieckim narodzie" (Fichte), rozpętując się w końcu w barbarzyństwo i ateizm.

Dopiero tak podkreślany i przeceniany element woli niemieckiego egotyzmu użycza mu jego niesamowitej dynamiki. A jeśli nie może on uporać się z coraz więcej krzepnącym konfliktem z rzeczywistością — to chce wówczas tę rzeczywistość wchłonąć w swoją świadomość, kształtować ją i nagiąć. Wierzy on nie tylko w to, czego chce. Stwarza on także to, czego chce — i wierzy w to. Niemiec jest dlatego z natury swej produktywny, odznacza się fanatyzmem pracy, która często zatrważa świat, zdobywając sobie jednak podziw u obcych. Jest to owa kłócąca się sama z sobą „niemiecka dzielność, która w rezultacie zatruła wszystkim narodom życie" (Stefan Zweig).

(Ciąg dalszy nastąpi)

Dr St. Liberek

Elita gospodarcza

Treść

Najnowsze badania socjologiczne starają się poznać, zrozumieć i wytłumaczyć działalność człowieka w społeczeństwie, uzasadnić jego zachowanie, ustalić względnie wykryć prawa rządzące jego postępowaniem (A. Naville, E. Durkheim, A. Maday). Autorzy ich choć w większości wypadków opierają się raczej na analizie faktów społecznych — co jest pierwszym obowiązkiem uczonego (P. Sorokin) — niż istniejących teoryj, nie zawsze jednak czynią dostateczną różnicę między nauką a sentymentem, między tym „co jest" a tym „co być powinno". Jest to najczęstsza przyczyna zatraty przejrzystości i zrozumienia problemu przez nich traktowanego. Używanie wyrażeń niejasnych, niezdefiniowanych, niejednokrotnie o podwójnym sensie, podobnie utrudnia poznanie prawdy naukowej, teorii, tezy czy hipotezy. Ponieważ wiedza ograniczona jest sumą naszych subiektywnych wiadomości, odkryte prawa naukowe nie są absolutne i wszelkie prawdy naukowe będące słuszne — w granicach „czasu" i „przestrzeni" — są względne.

Te przedwstępne uwagi wydają się nam o tyle usprawiedliwione, że zagadnienie, które poruszamy, należy do socjologii — nauki, która rości sobie pretensje, zwłaszcza w ostatnich czasach, do matki wszelkich innych nauk społecznych.

Skok dokonany w tej dziedzinie nauki jest olbrzymi. W plejadzie uczonych, którzy przyczynili się do pogłębienia i rozszerzenia wiedzy socjologicznej, wyróżnia się nieznany szerszemu ogółowi Vilfredo Pareto. V. Pareto, kontynuując rozważania i obserwacje ekonomisty francuskiego Cournot, niemieckiego Gossen'a, angielskiego Jevons'a i swego poprzednika na katedrze ekonomii politycznej Uniwersytetu Lozańskiego Walrasa, stworzył z tym ostatnim znaną w ekonomice „szkołę matematyczną", lub „lozańską". System, jaki zastosował w ekonomice, przeniósł do socjologii. W monumentalnym dziele „Traité de sociologie générale", które można porównać jedynie z dziełem Adama Smith'a o „Bogactwie Narodów", lub „Kapitałem" Marksa, Pareto, czyniąc zasadniczą różnicę między nauką i uczuciem, rozwijając z finezją metodę eksperymentalno-obserwacyjną wprowadzoną do nauk politycznych przez autora „Ducha Praw", wskazał socjologii nowe horyzonty, wyodrębniając ją całkowicie z metafizyki.

Opierając się na jego teorii „cyrkulacji elit", formułowanej poprzednio przez Gaetano, Mosca, Taine'a, Gumplowicza, uczniów Saint-Simon'a, a nawet Dantego i Platona, zajmujemy się w tym artykule zagadnieniem „elity gospodarczej".

Wąskie ramy artykułu pozwalają jedynie na naszkicowanie zagadnienia i przedstawienie teoryj niedostatecznie popartej faktami. Analiza faktów, z których można by logicznie wyciągnąć wnioski i sformułować tezę, byłaby bezsprzecznie więcej interesująca i pożyteczna. Niemniej jednak usiłujemy pozostać w granicach metody analitycznej. Twierdzenia i rozważania opierają się na faktach, obserwacji i logice, jak również na pracach i autorytecie znanych socjologów i ekonomistów; dla ilustracji niektórych jedynie twierdzeń podajemy przykłady własne. Pareto, Mosca, Sorokin, Bousquet, Durkheim, Duprat i wielu innych wyjaśniają pojęcie elit, wykazują ich istnienie, uzasadniają ich konieczność jako jeden z warunków rozwoju narodu tak pod względem moralnym jak i materialnym. J. Duhamel członek Akademii Francuskiej, pisarz społeczny, myśliciel i bystry obserwator życia, dopatruje się w każdym wysiłku narodu zdrowego, posiadającego dobre instytucje, i dobrze rządzonego, dążenia do ukonstytuowania się elit, „to znaczy arystokracji inteligentnej, której zadaniem jest zachować i powiększać skarb wiedzy, rządzić krajem, ustalać prawa, sprawiedliwie sądzić, zapewnić bezpieczeństwo kraju, chronić i zabezpieczać przed chorobami, kierować licznymi pracami w przedsiębiorstwach, tworzyć dzieła sztuki, pisać historię i prowadzić rachunki". Dla Novicow — formującego swoją teorię bio-organiczną społeczeństwa — członkowie elit (spełniający rolę komórek systemu nerwowego w społeczeństwie) są „prawdziwym motorem wszystkich akcyj społecznych".

Historyk i filozof Carlyle twierdzi, że tylko wielcy ludzie czy mężowie stanu prowadzą narody na drogę postępu i że im zawdzięczają masy dotychczasowe osiągnięcia. W przeciwieństwie do tej tezy Karol Marks i jego uczniowie widzą w masie ludzkiej instynkt i siłę, narzucające człowiekowi postępowanie, czyniące go bezwolnym narzędziem nieznanej „materialnej" potęgi. Dzisiaj zwłaszcza ta ostatnia teza jest najbardziej popularna, będąc zasadniczo sprzeczna z rzeczywistością.

Historia narodów stwierdza, że rozwój ich szedł zawsze w parze z uznaniem „człowieczeństwa", indywidualnej kultury człowieka, wolności osobistej i wszystkich bogatych przejawów jego rozumu i serca. Im trwalsza była „równowaga społeczna" — to znaczy stan, w którym siły dążące do rozbicia systemu społecznego równoważone są skutecznie przez siły koncentracji (Pareto, Bousquet, Sorokin) — tym większy był dobrobyt narodu, wynikający z solidarnego wysiłku z myślą o przyszłości, trwałości i wartości instytucyj publicznych. Innemi słowy, im więcej było w danym społeczeństwie osobników „wyższych", to jest inteligentnych, rozumnych, wykształconych, tolerancyjnych, silnych, zdolnych, wykwalifikowanych, bez obawy wzięcia odpowiedzialności za sprawowanie funkcyj społeczno-politycznych, przewidujących, wskazujących właściwą drogę rozwoju, umiejących równoważyć wpływy osobników „niższych" to jest antyspołecznych, demagogicznych, żądnych natychmiastowego zaspokojenia potrzeb (prymitywnych), nie umiejących przewidywać — tym większy był rozwój cywilizacji, to znaczy wzrostu dóbr duchowych i materialnych (Durkheim, Bouglé).

Wielcy mężowie o których wspomina Carlyle, zachowując dobrobyt i spokój społeczny, przyczyniają się w dużej mierze do formowania elit. I to jest ich wielką zasługą. Sami przez się nie wiele mogliby uczynić, będąc jako

ludzie przedmiotem błędów. Elita natomiast, składając się z „n“ najlepszych osobników, mniej jest narażona na popełnianie tych błędów i niesprawiedliwości.

Cofanie się cywilizacji i kultury, upadek narodów konstatujemy w okresach zanikania elit, kiedy bezimienna masa za pośrednictwem demagogów dochodzi do głosu, żądając najczęściej natychmiastowego zaspokojenia realnych czy urojonych potrzeb (niezdolna do przewidywania i ponoszenia ofiar dla przyszłych pokoleń). Antyczny „tyran“, czy nowoczesny „dyktator“ schlebiając masom, lub też narzucając im swoją wolę, może zapewnić przez okres swych rządów względny dobrobyt, ład i porządek. Reżim przez niego narzucony w większości wypadków nie jest trwały. Z jego upadkiem następuje totalna dezorganizacja życia społecznego, politycznego i gospodarczego. Istnienie elit jest natomiast gwarancją trwalszych poczynań, ostoją form współżycia w społeczeństwach, opartych na zasadach „demokratycznych“ antytezy totalizmu.

Zagadnienie elit jest mocno dyskutowane w ostatnich czasach. Usiłuje się mu nadać ton polityczny, co jest godne ubolewania, bowiem zagadnienie jest wybitnie naukowe. Nieporozumienie wynika z pomieszania teorii z praktyką i datuje się od samego twórcy nowoczesnej socjologii A. Comte'a, który w pracach swoich nie oddzielił socjologii od polityki. (A. Comte. — Système de politique positive ou traité de sociologie instituant la religion de l'humanité).

Polityka nie jest nauką, ale sztuką, i dąży do osiągnięć praktycznych. W uzasadnieniu polityki pozytywnej usiłuje się dziś stworzyć na użytek mas pretensjonalną i pseudo-naukową teorję o „intuicji“, mglistej formie „natchnienia“ mas ludzkich, która ma wystarczyć przywódcom do kierowania organizmami społecznymi. Jak fakty stwierdzają, pod „intuicją“ lub „natchnieniem“ szefów mistycznie wyczuwających masy kryje się najczęściej nieprzygotowanie naukowe lub zawodowe. Przywódcy ci starają się je zastąpić pretensjonalną „wszechwiedzą“, tupetem, arogancją, energią, umiejętnością przemawiania i perswazji, sugestywnemi sloganami, autoreklamą, ironią, przebiegłością. Okres ich panowania jest zazwyczaj krótki, następstwa mogą być klęską społeczną.

W niektórych krajach na skutek totalnego wyniszczenia przodowników życia społecznego, politycznego i pospodarczego, niezbędnych dla normalnego funkcjonowania organizmu państwowego, problem elit stał się tematem dyskusyj publicznych. Wysiłki rozwiązania sztucznie zagadnienia elit są realizacją istniejącej teorii, mogą przybierać różne formy, nie mają jednak nic wspólnego z nauką czystą.

Pojęcie „elity“ jest względne; wywodzi się z nierówności społecznej powstałej na skutek różnic fizycznych, moralnych i intelektualnych, istniejących między ludźmi. Na ogół rozumiemy pod nim to co jest „najlepsze“, „najzdolniejsze“, „najwartościowsze“ w osobnikach należących do danego narodu, jego warstw, klas, czy grup społecznych. Rysem charakterystycznym elity jest więc „wyższość“ (M. Kolabińska) osobników wchodzących w jej skład. Skład ten jest różny, zależny od sklasyfikowania przez nas osobników w nowoczesnym społeczeństwie niezmiernie zróżniczkowanym. Mamy więc

elitę robotniczą w warstwie robotniczej, wojskową w armii, intelektualną w warstwie pracowników umysłowych, religijną w duchowieństwie i t. d. Mamy również elitę gospodarczą w grupie ludzi zajmujących się produkcją, cyrkulacją i podziałem dóbr ekonomicznych.

Studiując morfologię elity gospodarczej, zauważymy iż da się w niej wyodrębnić elity producentów (przemysłowców, rolników), kupców, bankierów, finansistów, rentierów i t. p. Wszystkie te elity razem wzięte odpowiadają więc pojęciu elity gospodarczej. Reprezentując grupy złożone z osobników niezorganizowanych, elity wyżej wymienione nie są synonimem izb rolniczych, przemysłowych, handlowych, rzemieślniczych czy konsorcjów bankowych. Członkowie ich mogą jednak rekrutować się z tych ugrupowań gospodarczych. Nie można również przeprowadzić linii wskazującej granicę przynależności osobników do tych elit.

Przyjmując zbyt imperatywne twierdzenie H. Poincaré, iż wszystkie nauki opierają się na umowach i „wygodach“ intelektualnych, upraszczamy sobie analizę naszego zagadnienia i zakładamy, iż elita gospodarcza formuje się z grupy ludzi zajmujących się produkcją, cyrkulacją i podziałem dóbr ekonomicznych. Opierając się zatem na tradycyjnym podziale ekonomii politycznej, staramy się wyszczególnić z trzech grup gospodarczych osobników, którzy w sumie tworzą elitę gospodarczą danego kraju — zdając sobie sprawę, iż nomenklatura ta jest niekompletna i częściowo sztuczna, bowiem granice wyodrębniające grupy społeczne zacierają się przy głębszej analizie.

W skład tak pojętej elity mogliby więc wejść „najzdolniejsi“ w najszerszym tego słowa znaczeniu z grupy pierwszej: rolnicy, przemysłowcy, rzemieślnicy i inni, którzy przetwarzają dobra ekonomiczne lub zmieniają ich formę; z grupy drugiej: kupcy, finansiści, importerzy, eksporterzy, bankierzy, szefowie, lub kierownicy towarzystw transportowych, asekuracyjnych; z grupy trzeciej: prezesi syndykatów, związków zawodowych, przywódcy grup gospodarczych, którzy wpływają na podział dochodu z pracy i kapitału.

Opierając się na przesłankach psychologicznych, zakwalifikujemy do „najzdolniejszych“ osobników najinteligentniejszych, najwięcej sprytnych, przewidujących, energicznych, nie zawsze najlepszych w sensie moralnym, ale najlepszych w swoim zawodzie, czy w spełnianiu swych funkcyj lub usług — jednym słowem tych wszystkich, którzy dzięki swym przymiotom uzyskują przewagę nad grupą osobników, z których się rekrutują. Tak ujęta elita jest pewnego rodzaju „arystokracją“ danego zawodu, grupy, klasy czy warstwy społecznej.

Ekonomiści ze szkoły klasycznej uważają, że elita gospodarcza odpowiada warstwie społecznej najbogatszej (P. L. Reynaud). Adam Smith, Malthus, Say, Ricardo, Bastiat podtrzymują tezę, że zalety osobnika kształtują się w walce spowodowanej konkurencją. Najlepsi zatem są zwycięzcami w tej walce.

Rozumowanie ich nie zupełnie jest słuszne. Selekcja społeczna, jako wynik walki o byt, może dać osobników wartościowych i szkodliwych. Nie potrzebujemy udowadniać, że osobnicy najbogatsi nie zawsze są najlepsi, najzdolniejsi, czy najbardziej wartościowi. Sama zatem zamożność nie może być cechą charakterystyczną elity gospodarczej; jest ona tylko jedną z wielu. Obserwacja życia społecznego pozwala nam na twierdzenie, iż w społeczeństwie nowo-

czesnym przynależność do klasy czy warstwy społecznej nie jest jedynie wynikiem ilości posiadanych bogactw, zamożności, ale również stopniem kultury i zdolności osobistej (F. Carli). Członkami elity gospodarczej mogą być przeto ludzie zamożni, albo też kulturalni i zdolni (np. przedsiębiorca).

Proces tworzenia się elity jest długi, jak zresztą każdy proces społeczny. Po wypędzeniu hugenotów z Francji, co miało katastrofalne skutki dla gospodarstwa narodowego, królowie francuscy usiłowali zjednać sobie niektórych z nich, namawiając do powrotu w obawie, aby handel i przemysł francuski nie zostały całkowicie wyeliminowane przez Anglików i Hiszpanów. Kryzys spowodowany brakiem odpowiednich ludzi trwał długo i Francja poniosła duże straty materialne, zanim sformowała się nowa elita gospodarcza.

Katastrofa społeczna, jaka dotknęła Polskę w ostatniej wojnie przez wyeliminowanie z handlu i przemysłu Izraelitów (59% w handlu i 21% w przemyśle), miałaby większe następstwa, gdyby przyszła w warunkach normalnych. Niemniej jednak w niektórych działach gospodarki narodowej należy przewidywać dłuższy okres czasu, zanim ponownie wytworzy się warstwa osobników zdolnych i doświadczonych do zajęcia się np. importem i eksportem.

Czechosłowacja, wypędzając ostatnio ze swego terytorium Niemców, zatrzymała niektórych z racji ich znajomości technicznych pewnych zawodów. Zarządzenie wydano w obawie upadku branż przemysłu krajowego, w których dominującą rolę odgrywali spece niemieccy, jak również z powodu braku fachowców narodowości czeskiej. Specjaliści niemieccy — jak donosi agencja Reutera z Pragi — „będą uczyć młodych Czechów różnych zawodów, np. w przemyśle szklanym, tkackim, brązowniczym i wyrobie porcelany".

Katastrofy społeczne typów, jakie podaliśmy powyżej, są rzadkie w społeczeństwach cywilizowanych żyjących w warunkach normalnych. Zazwyczaj elita istnieje mniej lub więcej trwale. Trwałość jej kryje w sobie jednak niebezpieczeństwo degeneracji. Aby była ona zawsze na poziomie i mogła wykonywać swoją funkcję społeczną, winna mieć stały dopływ świeżych osobników. Dopływ ten istnieje dzięki ruchowi wznoszącemu osobników z warstw niższych do wyższych, który Pareto nazwał procesem „infiltracji" czyli przenikania. O ile proces przenikania odbywa się normalnie, t. zn. o ile nowi członkowie nie napotykają specjalnych trudności w zajęciu miejsc wolnych w elicie, powstałych z różnych przyczyn jak np. śmierci, utraty zdolności zawodowych, strat materialnych, upadłości i t. p. starych członków elity, wtedy mamy do czynienia ze zjawiskiem krążenia albo „cyrkulacji elit" (Pareto, Bousquet, Sensini, Colson).

Elita gospodarcza, jak zresztą inne elity, ulega przemianom. Szybkość przemian zależy od ogółu warunków politycznych, społecznych i gospodarczych, istniejących w danym społeczeństwie. Czy to będzie dotyczyło kupców fenickich, kartagińskich, bankierów włoskich z okresu renesansu, czy też przemysłowców flamandzkich, a w późniejszych okresach eksporterów i importerów hiszpańskich, portugalskich, francuskich czy angielskich — konstatujemy względnie szybkie zanikanie rodzin, które zajmowały przodujące stanowiska, i powstanie na ich miejsce nowych. Powszechność tego zjawiska da się również dobrze zaobserwować w złotych księgach kupców weneckich, hanzeatyckich, jak i w rejestrach mieszczaństwa polskiego.



Kulisiewicz T.



Drzeworyt Feliksa Valloton.

Powiedzenie paryskie, że „ojciec jego w trepach przyszedł do Paryża", ponieważ syn został fabrykantem — czy warszawskie, że „ojciec jego był woźnym", podczas gdy syn został dyrektorem – świadczy tylko, że w czasach obecnych cyrkulacja elit odbywa się intensywniej aniżeli w czasach zamkniętych stanów, kast czy klas społecznych. W dzisiejszym bowiem społeczeństwie przejście z jednej klasy społecznej do drugiej ułatwione jest dzięki znaczeniu, jakie przypisuje się kulturze i zdolnościom osobistym.

Charakter elity gospodarczej zmienia się w czasie i przestrzeni. W okresie panowania teorii merkantylistów kupcy przodowali elicie; w dobie panowania fizjokratów producenci rolni; w czasie pełnego rozkwitu doktryn liberalnych i rozwoju maszynizmu przemysłowcy. Dziś — w dobie charakterystycznego uzależnienia rolnictwa, przemysłu i handlu od kapitału-pieniądza — skłonni jesteśmy podtrzymać tezę, że ton nadają elicie gospodarczej finansiści względnie „przedsiębiorcy", którzy łącząc kapitał i pracę tworzą nowe wartości tak materialne jak i moralne (dobra ekonomiczne, usługi).

O ile godność jest wyrazem użyteczności i trudności zawodu, to wydaje się słusznym twierdzenie Bouglé, że grupy, które zmonopolizowały działalność najbardziej skomplikowaną, cieszą się największym uznaniem i to nie tylko w ustroju kast i gild. W obecnym ustroju ekonomicznym działalność finansisty, mającego powziąć daleko idące decyzje w finansowaniu np. monumentalnych konstrukcyj różnego rodzaju, przewidzieć ich rentowność, skalkulować amortyzację kapitałów i t.p., jak również przedsiębiorcy, wykonawcy i realizatora tych zamierzeń, wymaga bez wątpienia większych przygotowań i zdolności, aniżeli zawód rolnika, kupca czy przemysłowca. W hierarchii grup gospodarczych wysunęlibyśmy więc finansistów i przedsiębiorców przed przemysłowcami, kupcami i rolnikami.

W zależności od charakteru gospodarczego kraju rolnicy, przemysłowcy, lub kupcy i bankierzy przeważają w elicie. Niejednokrotnie wbrew temu charakterowi oraz dla celów różnych, wynikających z polityki gospodarczej, usiłuje się zasilić elitę osobnikami z branż, którym przypisuje się większe znaczenie w gospodarstwie narodowym. O ile osób tych jest brak, stara się je uformować. Obecność ich w elicie wypacza jednak jej charakter naturalny.

Po pierwszej wojnie światowej (1914—18), w okresie panowania neomerkantylizmu i haseł samowystarczalności, czyniono wiele, aby przygotować kandydatów do zajęcia stanowisk w przemyśle i handlu, chociaż charakter kraju był wybitnie rolniczy, podobnie jak w krajach przemysłowych czyniono zachęcające propozycje tym wszystkim, którzy by zajęli się rolnictwem. Wysiłki Niemiec i Anglii w tym czasie w dziedzinie rolnictwa tak samo są dobrze znane, jak wysiłki Polski w handlu, gdzie na zalecenie misji Kemerera zakładano wyższe szkoły handlowe, mające na celu wypuszczanie seryj kupców, importerów i eksporterów niezbędnych dla podtrzymania i rozwoju polskiego handlu zagranicznego.

Statystyki gospodarcze niejednokrotnie mogą ułatwiać częściowo obserwację zmian zachodzących w elitach, jak np. intensywność i stopień krążenia członków, wielkość elit, ich skład etniczny, religijny i t. p. Analiza statystyk nie będzie odnosiła się do cyfr bezwzględnych, ale do wskaźników, które

Janusz Kucharski

ROZPRAWA NAD DNIEM

Kilka godzin od świtu do zmroku —
Przestrzeń mała — ot kilka kroków —
To dzień jeden. — — On jednak urasta
W dzień: twój, mój, jego i miasta —
Dalej państwa, Europy i świata —
Dzień w smrodzie, głodzie i kwiatach —
Raz wlokący się w wieczność — raz krótki...
Dzień króla — wszy — prostytutki —
Różnobarwny, jak w tinglu tapeta — —
Dzień, o którym nagle poeta —
(taki wariat, plotący trzy po trzy)
Krzyknie:
Żyłem dni miliard — kto me łzy otrze?

---

można z cyfr tych wyprowadzić. I tak statystyczna zgłoszonych upadłości pozwala na obserwację ruchu schodzącego, usuwanie się członków elity, ich eliminacje; statystyka wykupionych świadectw przemysłowych i handlowych pierwszych kategoryj (w Polsce I, II i III kat. przemysłowe; I i II kat. handlowe) na rozmiary elity; statystyka ludności w/g źródeł utrzymania i narodowości na charakter etniczny elity (w Polsce statystyka ludności w/g źródeł utrzymania i religii).

(Dokończenie nastąpi)

200-lecie urodzin [1746 - 1946] TADEUSZA KOŚCIUSZKI

W jesieni ub. roku odbyły się we wsiach podkrakowskich Luborzycy i Proszowicach imponujące uroczystości. Przy udziale przeszło półtysiąca aktorów-amatorów urządzona została tam żywa Panorama Racławicka. Była ona pierwszym wynikiem apelów prasowych i radiowych ks. H. Weryńskiego o godne uczczenie zbliżającej się dwóchsetletniej rocznicy urodzin Tadeusza Kościuszki, naszego bohatera narodowego i kontynuatora idej Konstytucji 3-go Maja. Powołany do życia komitet z siedzibą w Krakowie odbył 22 września pierwsze zebranie organizacyjne i przystąpił niezwłocznie do prac. Wydział propagandowo-prasowy komitetu pod kierownictwem prof. Un. Jag. Dr Henryka Mościckiego oraz przy udziale profesorów Un. Jag. Dr Jana Dąbrowskiego i Dr Feliksa Kopery, dyrektora Muzeum Narodowego, uruchomił m. in. sekcję wydawniczą. Wydział finansowy na czele z b. prezydentem m. Krakowa i b. senatorem R. P. inż. Karolem Rolle i jego zastępcami: dyrektorem Narod. Banku Pol. Łazarczykiem i dyrektorem Państw. Banku Roln. Rosiekiem zajął się organizacją środków pieniężnych.

Ponieważ Komitet w kraju zwrócił się do różnych ośrodków za granicą z odpowiednim apelem w sprawie „Roku Kościuszkowskiego" — podajemy do wiadomości i zorientowania się naszych czytelników program prac, związanych z realizacją zamierzeń Komitetu.

Wydział propagandowo-prasowy wyłonił sekcję wydawniczą, która ma w planie:

a) wydanie większej broszury propagandowej, zawierającej materiał na poranki i wieczornice ku czci T. Kościuszki;
b) wydanie życiorysu Naczelnika w objętości 2—3 arkuszy druku, który by mógł posłużyć również do przemówień na akademiach kościuszkowskich;
c) wydanie poważniejszej książki o Kościuszce wobec tego, że monografia Korzona datuje się z przed pół wieku i nie jest dostępna dla współczesnego czytelnika;
d) opublikowanie najlepszego spośród nadesłanych nowych utworów scenicznych, osnutych dokoła postaci Kościuszki, względnie na tle jego epoki;
e) opublikowanie najlepszych nowych wierszy, poświęconych Kościuszce — ze specjalnym uwzględnieniem tych, które oddadzą usługę młodzieży i wojsku;
f) wydanie 4 milionów kart pocztowych z reprodukcjami scen z życia i walk Kościuszki oraz jego sentencjami;

g) wydanie 3—4 rodzajów znaczków pocztowych filatelistycznych w ilości po sto tysięcy egzemplarzy;
h) wybicie medala pamiątkowego, projektowanego przez najzdolniejszych artystów plastyków;
i) wydanie 2 rodzajów odznak, które Komitet pragnie rozpowszechnić zwłaszcza wśród młodego pokolenia — przez szkoły;
j) o ile znajdą się fundusze, pragnie Komitet również wydać artystycznie wykonane portrety Kościuszki do masowego kolportażu i t. d.

Specjalna sekcja zajmuje się opracowaniem programu dla różnych imprez, które mają się odbyć na przestrzeni całego roku. Luty, w którym wypada data urodzin, nie nadaje się do uroczystości pod gołym niebem, wielkich manifestacyj, zbiorowych pielgrzymek do trumny Kościuszki na Wawelu i t. p.

Młodzież szkolna i wojsko objęte są odrębnym programem.

Sekcja prelegentów pod kierownictwem prof. A. E. Balickiego ma zająć się zorganizowaniem odczytów.

Komitet opracowuje szczegóły odnowienia i konserwacji Kopca Kościuszki pod Krakowem. Przygotowane zostały już plany zburzenia szpecących go fortyfikacyj z czasów zaboru austriackiego i urbanistycznego rozwiązania całego otoczenia Kopca — tak, aby stworzyć dlań ramy, odpowiadające godności miejsca, które ma zamienić się w wiekopomny dowód czci i wdzięczności całego narodu dla swego najbardziej zasłużonego Syna.

Toczą się również pertraktacje o sprowadzenie słynnej Panoramy Racławickiej ze Lwowa do Krakowa. Została ona w czasie działań wojennych na wiosnę 1943 r. uszkodzona, ale może być odrestaurowana. Ponieważ koszta odnowienia i budowy specjalnej rotundy będą znaczne, Komitet liczy na pomoc Polonii zagranicznej w tej sprawie.

Komitet wystąpił również z bardzo piękną inicjatywą zakładania „Wiosek Kościuszkowskich“, wzorowych osiedli wiejskich, w których stworzy się odpowiednie warunki dla wychowania sierot w atmosferze rodzinnej. W tym celu przesłana została petycja do Prezydium Rady Ministrów w Warszawie o przejęcie przez Rząd opieki nad wzorową wsią Lisków koło Kalisza, osieroconą przez jej twórcę ś. p. ks. prałata Wacława Blizińskiego, b. posła i senatora R. P., który zmarł 21. X. 1944 — oraz o wydanie specjalnego dekretu, ogłaszającego Lisków jako pierwszą „Wioskę Kościuszkowską“. Ponieważ Lisków został w czasie wojny bardzo zniszczony — wymaga on wielkich wkładów przy odbudowie jego sierocińców, szkół zawodowych i spółdzielni. Ciężar zebrania odpowiednich kapitałów spoczywa na społeczeństwie w kraju i za granicą ze względu na znaczne obciążenie budżetu państwowego pilniejszymi potrzebami na innych odcinkach życia gospodarczego i społecznego.

Przewidziane jest wreszcie w planach Komitetu umieszczenie tablicy jubileuszowej z datami: 1746—1946 na najwyższym szczycie australijskim na górze Kościuszki. Sprawę tę, ważną ze względów uczuciowych i propagandowych, powierza Komitet zainteresowaniu Polonii amerykańskiej i szwajcarskiej.

Ponieważ przebieg uroczystości Kościuszkowskich z uwagi na ich kulturalne i społeczne znaczenie interesuje Redakcję HORYZONTÓW — zwracamy się z prośbą do naszych Czytelników we wszystkich środowiskach polskich za granicą o uprzejme komunikowanie nam w formie korespondencyj i sprawozdań o obchodach, czy innych imprezach, organizowanych przez poszczególne środowiska.

Mieczysław Sangowicz

W BELGII I OKUPOWANYCH NIEMCZECH

Lądujący w wielkiej hali brukselskiego „Gare du Midi“ albo „Gare du Nord“ żołnierz polski nie potrzebuje przewodnika, informatora ani znającego miasto kolegi. Natychmiast po wyjściu z dworca spotyka go młody, albo nieco starszy pan lub pani:

— Co słychać?

Zagadnięty w ten sposób nie może opanować lekkiego zmieszania. Nie przypomina sobie twarzy, ale ten akcent dziwnie znajomy... Niepewność trwa krótko.

— Potrzebuje pan co kupić? Albo sprzedać? Dobrze płacę.

Tak, Polaku. Nie zginiesz na świecie, dopóki są na nim „polskie żydki“.

— Pan się dziwi? My jesteśmy wszędzie. I Hitler nie dał nam rady — wyjaśnia z odrobiną chełpliwości pani kupcowa. — Nu, co panu potrzeba?

Żydki mają wszystko do dyspozycji. Dolary, funty papierowe i złote, franki belgijskie, francuskie i szwajcarskie, marki niemieckie i okupacyjne, bieliznę damską, męską i dziecinną (bez kuponów oczywiście), papierosy i masło, brunetki, blondynki i rude. Któż by się czuł w Brukseli obco w tej sytuacji?

Tym bardziej, trzeba przyznać, że Belgowie odnoszą się ze szczególną sympatią do polskich żołnierzy. Sprawiły to boje naszej Dywizji Pancernej gen. Maczka, która przeszła ten kraj lawiną stali i ognia, zmiatając opór znienawidzonych Niemców, zostawiając za sobą groby poległych pancerniaków, ale i wdzięczną pamięć.

Ludność czuwa troskliwie nad polskimi grobami i bardzo serdecznie traktuje żywych. Czy można by gdzie indziej zobaczyć, jak motorniczy wychodzi z tramwaju, pokazuje Polakowi i opisuje szczegółowo drogę, nie troszcząc się wcale o to, że czeka nań pełny po brzegi wagon?

Nie tylko to. Władze belgijskie zrobiły bardzo dużo ze swej strony, by umożliwić studentom polskim dostanie się na krajowe uczelnie, udzieliły nawet pewnej ilości stypendiów. Belgia też była tym państwem, które choć cofnęło uznanie Rządowi Polskiemu w ślad za innymi mocarstwami, jednak zwlekało najdłużej z faktycznym przeprowadzeniem wiążących się z tym zmian. Jeszcze dziś nie wszystko zostało zlikwidowane.

Bruksela robi dziwne wrażenie. Ogromna, szeroko rozrzucona i rojna, wygląda na typowe miasto w czasie wojny. Podobnie musiała wyglądać rok temu jesienią 1944. Na ulicach widzi się bez porównania więcej stosunkowo żołnierzy, niż w Paryżu. Jezdniami suną niemal bez przerwy kolumny wojskowych ciężarówek, naładowane ludźmi, sprzętem, pontonami i benzyną, maszerują zwarte oddziały piechoty brytyjskiej, w łoskocie stali i szczęku gąsienic idą olbrzymie czołgi, aż ziemia dudni, śmigają motocykliści w bojowych hełmach, nad dachami przelatują z ogłuszającym hukiem myśliwce i maszyny bombardujące, kręcą się setkami wszędobylskie, brzydkie, ale sympatyczne „Dżipy“.

Wszystko w mieście jest tak obmyślane, żeby żołnierzowi zapewnić maksimum wygody i minimum wydatków. Restauracje „Czerwonych Krzyżów“,

gdzie za minimalną opłatą można zjeść smaczny obiad i gdzie usługują honorowo ładne siostry, kantyny rozmaitych międzynarodowych instytucyj charytatywnych obdzielające prawie darmo herbatą, kanapkami i ciastkami, luksusowe hotele dla oficerów i wygodne kwatery w barakach dla szeregowych, specjalne teatry, kina i kabarety — wszystko to stoi do dyspozycji przyjeżdżającego. Bo Bruksela jest najbliższym wielkim i niezniszczonym miastem dla wojsk okupacyjnych w Niemczech.

Nie tylko niezniszczonym, ale żyjącym, jak i cały kraj, prawie normalnym gospodarczo i politycznie życiem.

Belgia jest przecież jedynym państwem na świecie, które nie tylko spłaciło St. Zjednoczonym należności z tytułu dostaw „prêt et bail", ale ma nawet w Ameryce wierzytelności! I jest Belgia jedynym w Europie spośród biorących udział w wojnie krajów, które gospodarczo wróciły już niemal do stanu przedwojennego dobrobytu.

Żeby się o tym przekonać, wystarczy przejść się po ulicach Brukseli, w dzień niezmiernie ożywionych, wieczorem jeszcze chyba bardziej — i jasno oświetlonych. Wystawy sklepów pełne są towarów wszelkiego rodzaju i gatunku, nie wyłączając żywności. Kupony istnieją, ale już raczej tylko dla formy. Wojenna drożyzna ma stałą tendencję zniżkową. Tego nie ma nawet w Szwajcarii. Bruksela jest szczególnie rajem dla amatorów owoców, które są niezmiernie tanie i pyszne. Największą atrakcję stanowią niezrównane winogrona koloru śliwek i tejże prawie wielkości. Te wspaniałe, dekoracyjne, stołowe winogrona są produkcji... belgijskiej. Istotnie, całe kilometry kwadratowe płaskich pól podstołecznych pokryte są szkłem, pod którym dojrzewają te południowe owoce w bladych promieniach listopadowego słońca, albo i bez niego.

Z wewnętrznego życia Belgii rzucają się w Brukseli w oczy dwa zjawiska. Po pierwsze niesłychany najazd Flamandów na stolicę. Spotyka się mnóstwo osób, z którymi trudno jest dogadać się po francusku. Robi to wrażenie, być może złudne, że Wallonowie są w defenzywie. Drugim zjawiskiem, raczej nieoczekiwanym w świetle dochodzących z Belgii głosów prasy, jest duża popularność panującej dynastii. W co piątym przeciętnie oknie na parterze widnieje fotografia króla lub królowej. A przecież tak wyraźnie manifestują swe przekonania tylko najgorliwsi.

15 listopada Bruksela witała owacyjnie Churchilla. Ukazał się on tłumom ubrany tym razem po cywilnemu, z cylindrem ale bez cygara, jechał wspaniałym odkrytym wozem przez szpalery wiwatujących, zachwyconych Belgów, przyjmując kwiaty od dziewcząt w ludowych strojach i kłaniając się na wszystkie strony z błogim, zadowolonym uśmiechem. Belgia jest Churchillowi wdzięczna. Na domach widniały w wielu miejscach napisy: „Niech żyje Churchill, który nigdy nas nie opuścił!" To prawda — komentowali cierpko Polacy — ale nie miał po temu okazji.

Głównym centrem życia polskiego jest ośrodek naukowy, rozprowadzający z Brukseli studentów po uczelniach belgijskich w stolicy, Antwerpii, Louvain, Liège i t. d. Rektorem jest prof. Drewnowski z Polit. Warsz. Dużo jest jeszcze niedociągnięć w funkcjonowaniu ośrodka, kuleje organizacja, a przede wszystkim brak miejsc dla setek i tysięcy kandydatów na studia. Pierwszeństwo mają studenci już zaawansowani. Nie trzeba jednak zapominać, że ośrodek istnieje od kilku zaledwie miesięcy, a początek jest zawsze najtrudniejszy: trzeba to-



Krasnodębska-Gardowska B.



W Emmentalu. Drzeworyt, Emil Zbinden, Bern.

rować drogi, stwarzać precedensy i zwyczaje, szukać źródeł dla zapewnienia stypendiów. Ten początek jest zrobiony: ponad 700 studentów głównie z Niemiec ma już naukę zapewnioną, w Brukseli istnieje Dom Akademicki dla dziewcząt, polska stołówka i Dom Polski, gdzie mieszczą się organizacje społeczne i młodzieżowe.

Belgia jest obecnie największym ośrodkiem polskich studiów wyższych za granicą. Trzeba wierzyć, że wszystko zostanie uczynione dla jego rozszerzenia i rozwinięcia.



Na Belgii kończy się jako tako normalna Europa, ta Europa, która naturalnym porządkiem rzeczy dźwiga się stopniowo z wojennego kataklizmu. Dalej na wschód — zaczynają się Niemcy takie, jakich historia nie zna od stuleci, z najsilniejszego na kontynencie mocarstwa strącone w ciągu paru lat do roli geograficznego pojęcia, Niemcy bez rządu, woli i programu, Niemcy groźne już nie przez nową organizację, ale przez widmo anarchii, głodu i zarazy. Kraj dzisiaj tak prawie dla europejczyka nieznany i egzotyczny, jak Rosja Sowiecka.

Do Niemiec odchodzi co wieczór z Brukseli specjalny pociąg wojskowy. Organizacja Anglosasów jest świetna. Wszyscy pasażerowie muszą zgłosić zawczasu swój wyjazd — ilość wagonów jest ustalana w zależności od tego. Jest ich zwykle 12—14, wygodnych, wielkich pulmanów, rozmaitego zresztą pochodzenia. Obsługa kolejowa najpierw belgijska, potem holenderska, wreszcie niemiecka, według trasy Bruksela - Louvain - Roermond - Duisburg - Münster. Pasażerowie nie są zresztą niepokojeni mijaniem granic, bo dla wojska — gatunku uprzywilejowanego — nie ma rewizji celnej ani paszportów z wizami.

W chwili, gdy bariery zagradzające wstęp na peron opadają, pociąg już stoi na torze. Tłum żołnierzy sześciu państw, obładowany tobołami (ileż tam kawy — na czarny handel!), lokuje się szybko według tablic na wagonach: „USA“, „B. A. O. R.“ (Anglicy), „Officers“, „Ladies“. Polacy z Anglikami.

Na peronie można jeszcze kupić winogrona, ciastka, piwo, papierowe poduszki. Szczególną predylekcję do piwa — kiepskiego zresztą — wykazują murzyni: kupują po kilka flaszek i piją natychmiast.

O którejś tam godzinie w nocy coś się zmienia w rytmie jadącego dotąd spokojnie pociągu. Szybkość spada wyraźnie, wagony zaczynają kołysać się lekko i chwiać, ma się wrażenie. że koła idą po gumowych, elastycznych szynach. Syrena lokomotywy rzuca niemal bez przerwy ochrypłe wezwania czy ostrzeżenia. Nie wiadomo, co to jest. Ktoś przypuszcza, że pociąg wszedł w szczególnie ciężko zbombardowany rejon i że tory nie są jeszcze doprowadzone do należytego stanu. Ale za oknami nie widać nic, jest jeszcze ciemna noc.

5.30 rano, Krefeld. Wielka hala dworcowa, a raczej jej szkielet, bo ze szklanych ścian i pułapu nic prawie nie zostało. Megafony ryczą coś po angielsku. Jest to zaproszenie na śniadanie. Tuż za torem jasno oświetlony duży barak-kantyna. Można tam dostać, bezpłatnie oczywiście, gorącej herbaty z mlekiem kondensowanym, smażoną rybę i torebkę, zawierającą doskonałe kanapki, pierożki z mięsem i słodycze. Jest to bardzo miłe urozmaicenie monotonnej podróży. Szczególnym popytem cieszy się herbata, bo panuje przenikliwy, wilgotny chłód, zapowiedź świtu.

Gdy pociąg rusza w dalszą drogę, niebo zaczyna szarzeć. Jednak długo jeszcze nie można nic zobaczyć, bo widok zasłania gęsta mgła. Tempo jazdy wciąż słabe — i takie pozostanie aż do końca.

W pewnej chwili mgła nabiera perłowego odcienia, różowego od niewidocznego słońca — i nagle rozstępuje się na boki, ukazując niesamowity, upiorny obraz. Jesteśmy w północnej części zagłębia Ruhry, gdzie kiedyś było jedno niekończące się miasto fabryczne, podobnie jak u nas na Śląsku.

Wojna lotnicza, bezlitosna i potworna, wprowadzona przez samych Niemców, przeszła tędy w całej swej potędze i grozie. Jak okiem sięgnąć, widnieją czerwonawo-szare kupy gruzów, wysokie nieraz jak pagórki, poprzedzielane olbrzymimi lejami, w których stoi zielonkawa, nieruchoma, martwa woda. Trudno nawet odgadnąć, czy były tu fabryki, czy domy. Gdzieniegdzie sterczy jeszcze ku niebu ścięty w połowie albo rozdarty wzdłuż komin fabryczny. Bliżej linii kolejowej — osiedla mieszkalne, albo raczej to, co z nich pozostało: niewyraźne zarysy dawnych ulic wśród min, albo nietknięte bombą ale wypalone do szczętu kościotrupy kamienic. Z rzadka tylko jakiś ocalały w niepojęty sposób dom, zdradzający ślady życia dymem z komina. Poza tym cisza, pustka, przeorana bombami kamienna pustynia, oblana zimnym światłem słońca. Ciepłe wnętrze wagonu, ruch tego pociągu, lecące z komina parowozu iskry, wydają się zjawiskiem z innej planety.

Bliżej toru leżą miejscami całe sterty powyginanych, potrzaskanych, popalonych wagonów, które zleciały kiedyś w ogniu z nasypu, ryjąc w jego bokach widoczne do dziś bruzdy. Na jakimś niedotlonym wagonie towarowym widać źle zasmarowane litery „PKP". Budynki mniejszych stacyj, niepotrzebnych widać koniecznie aliantom, pozostały w stanie zniszczenia, w chaosie cegieł, szkła, drzewa i żelbetonu. Inne doprowadzono prowizorycznie do stanu używalności. Torów nie reperuje nikt, bo poco zresztą? Z mozołem wielkim i trudem wydobyto z tej plątaniny dwie nitki szyn, powiązano je, zasypano leje, sklecono mosty i puszczono pociągi po tym jedynym torze, ale szybkość ruchu nie przekracza 25 km/godz. Gros transportów idzie drogami, na których widać od czasu do czasu kolumny ciężarówek.

Ta księżycowa panorama rozwija się przed oczami przez dziesiątki kilometrów i w ciągu całych godzin. Jeżeli wszędzie niemieckie centra fabryczne tak wyglądają, to trudno zrozumieć, w jaki sposób najświeższe obliczenia angielskie podają zniszczenia przemysłu b. III Rzeszy na 25%.

Pociąg zwalnia jeszcze bardziej wśród ruin jakiegoś dużego ex-miasta. Wreszcie zatrzymuje się. Peron jest zatłoczony zbitą ciżbą ludzką, mężczyzn i kobiet. Czekają na „swój" pociąg, bo ten jest dla nich niedostępny: „Für die Deutschen verboten!", a tym czasem przytupują nogami z zimna i zaglądają ciekawie do wnętrza. Wrogości na tych twarzach nie widać, przeciwnie raczej uśmiechają się wyczekująco, a parę dziewczyn szczerzy bezceremonialnie zęby do młodych oficerów angielskich (nie robi to na nich najmniejszego wrażenia). Na oko tłum ten wygląda nędznie i żałośnie, przy dokładniejszej jednak obserwacji widać, że prawie wszyscy są ciepło ubrani, mają dobre buty i pokaźną ilość bagażu. Wrażenie to nie jest bynajmniej powierzchowne: w tej części Niemiec, na pograniczu Holandii, jak tylko kończy się strefa rozbitych okręgów przemysłowych, kraj ucierpiał przez wojnę bardzo mało i władze sprzymierzone nie mają trudności, z jakimi muszą się borykać w głębi Niemiec. Czym dalej na wschód, tym jest gorzej.

Jakiś podchorąży-Polak wychodzi z wagonu i pyta najbliżej stojącego Niemca:

— Was für eine Stadt ist es?

Ten nie zrozumiał, albo tylko udaje.

— Ich bin aus russischer Gefangenschaft. Ich möchte einige...

— Ich frage, wie heisst diese Stadt? — przerywa cierpko i surowo Polak.

Niemiec podrywa się, jakby go biczem smagnął, trzaska głośno obcasami i recytuje:

— Es ist Duisburg, Herr Oberleutnant!

Podchorąży mruczy „dziękuję" i odwraca się. Żołnierz biegnie za nim, żebrząc jękliwie:

— Bitte, ein Zigarettchen... Herr Oberleutnant...?

Drzwiczki wagonu zatrzaskują się przed jego nosem, ale po chwili przez okno ukazuje się ręka z papierosami. Niemiec łapie z ruszającego już pociągu, a podchorąży uśmiecha się gorzko:

„Pod okupacją niemiecką to by Polak dostał w gębę za natręctwo, prawda? Oto jest nasz, polski rewanż..."

Jest jeszcze ta różnica, że polski żołnierz nie żebrałby papierosów od niemieckiego oficera.

* * *

Münster jest krańcową stacją wojskowej linii kolejowej. Dalej podróżuje się wyłącznie samochodami.

Na wielkim placu ocalałych z pogromu koszar niemieckich, gdzie mieści się obecnie obóz przejściowy oddziałów okupacyjnych, drewniane tablice wskazują miejsca parkowania wozów dla poszczególnych jednostek: dywizja amerykańska, kanadyjska (wymalowany liść klonu) oraz polskie: Brygada Spadochronowa (rozpięty spadochron) i Dywizja Pancerna (czarne husarskie skrzydło).

Do m. p. Sztabu Dywizji w Meppen jest ok. 90 km. — 2 godziny jazdy po dobrze utrzymanej, asfaltowej szosie. Ruch jest bardzo duży, wyłącznie wozy

wojskowe. Bokiem tylko drogi przemykają się Niemcy na rowerach, albo wędrują gdzieś stadkami piechotą, obarczeni tobołkami.

Oddziały polskie są rozlokowane po miasteczkach w dość dużym promieniu. Koniec działań wojennych zastał Dywizję w rejonie między Wilhelmshafen a Emden, cofnięto ją jednak nieco, w okolice trójkąta Meppen—Lingen—Quakenbrück.

Pełen chwały i wspaniałych walk marsz bojowy Dywizji zaprowadził ją z Caen w Normandii aż do morza Północnego, prawie 2000 kilometrów w pościgu za Niemcami, przez pola Falaise i Chambois, Belgię, Holandię i Oldenburg.

Dziś walki Dywizji należą już do historii, wspaniałej historii polskich sił zbrojnych w czasie drugiej wojny światowej. Od pół roku Dywizja ta pełni kolejny etap swej służby, stokrotnie zasłużony: jako jedyna wielka jednostka polska bierze udział w okupacji Niemiec.

Po miesiącach walk, marszów, ruchu i zmęczenia — zupełna zmiana warunków egzystencji, postój w miejscu, nie wiadomo na jak długo. Czołgi i cały sprzęt bojowy zaparkowany, zmagazynowany na zimę, nie jest żołnierzowi codziennym towarzyszem ani racją istnienia. Nie grozi mu jednak nuda i bezczynność, ani — na szczęście — bezmyślny dryl życia koszarowego i „musztra piesza“. Zajęcia ściśle wojskowe ograniczają się do służby wartowniczej i co pewien czas ćwiczeń z ostrym strzelaniem. Tyle, żeby utrzymać się w formie. Resztę czasu wypełniają kursy fachowe i ogólno-kształcące szkoły... oraz sport. Mistrzostwa piłkarskie Dywizji budzą olbrzymie zainteresowanie, a na ważniejsze mecze leci kto żyw. Wtedy, mówiąc między nami, nawet służba idzie trochę w kąt, co nie psuje nikomu humorów.

W ogóle stosunki w tej naszej Dywizji Pancernej różnią się bardzo od tego, co przywykliśmy w wojsku widzieć. Czy to jest wojsko dobre, o tym mogli się przekonać na własnej skórze Niemcy. Ale wspólne przeżycia bojowe, wspólna dola i niedola od tylu już lat zbliżyły ogromnie żołnierzy niezależnie od stopnia i rangi; tworzą oni jedną „sitwę“ — a to ułatwia i upraszcza życie! Przyczynił się do tego również fakt, że w tej kilkunastu-tysięcznej grupie nie ma „ciemnych kmiotków“. Każdy żołnierz umie prowadzić wóz, każdy zna jakiś obcy język (najczęściej angielski albo niemiecki), każdy interesuje się wydarzeniami na świecie, czyta... i mówi świetnie po polsku. Nie ma wśród nich niefachowców. Nauczył się wiele ten pancerniak w czasie swej tułaczki po świecie i wiele będzie mógł pokazać swym rodakom w Kraju.

Życie Dywizji — to bardzo skomplikowany i wszechstronny organizm, celowy, ruchliwy i bujny. T. zw. tam „Pluton Opieki nad Żołnierzem“ nazywa się skromnie, ale jest w istocie wcale potężną instytucją oświatowo-propagandową. Oprócz wielu doraźnych broszur, książek i materiałów wydaje „Pluton“ dwa pisma: „Dziennik Żołnierza“ i tygodnik „Defilada“, idące w dziesiątkach tysięcy nakładu; a tak mało dlatego tylko, że brak papieru. „Pluton“ również organizuje imprezy rozrywkowe. To Fryderyk Jarossy zorganizował, wskrzesił właściwie, dawnego „Cyrulika“, wskrzesił go jako nie byle jaki zespół, z takimi gwiazdami jak Helena Grossówna, Zosia Terné i Magierówna. Ten sam Jarossy, którego plotka zrobiła kiedyś agentem Gestapo i szpiegiem (może pomylono go z Igo Symem?), a który okazał się... oficerem Armii Krajowej! Teraz Jarossy jeździ ze swym „Cyrulikiem“ po polskich obozach między Anglią



Chrostowski St. O.





Bartłomiejczyk E.



Zaścianek tessyński. Drzeworyt Aldo Patocchi, Ruvigliana.

a Niemcami i jak za dawnych dobrych czasów bawi, rozśmiesza, porywa swym niezrównanym humorem i werwą. Spotykają go też za to nie milknące, żywiołowe... gwizdy. Bo żołnierze Pancernej przyjęli od Anglików ten sposób wyrażania entuzjazmu.

Do dyspozycji jest również czołówka teatralna polskiej Y.M.C.A. pod kierownictwem Zbigniewa Krukowskiego. Jej największą sławą jest doskonały zespół rewellersów ze śliczną, mocną piosenka „Warszawo wrócimy" i całym repertuarem starych i nowych przebojów.

W każdym miasteczku istnieją wreszcie kina garnizonowe, wyświetlające czasem i polskie filmy... z Brodziszem i Marią Bogdą, albo najnowsze, nakręcone we Włoszech w II Korpusie.

Niemniej ważnym elementem życia dywizyjnego jest... Batalion PSK! Pestki pełnią służbę w szpitalach, kantynach, świetlicach i biurach, ale o wdzięczniejszej ich roli niech świadczy opinia żołnierza angielskiego, któremu wyrzucano spacery z Niemkami:

— Łatwo wam bawić się w moralizatorów, kiedy macie swoje Polki! Chętnie się z wami zamienimy!

A są to Polki nie byle jakie, bo prawie wyłącznie dziewczęta z A. K., z Warszawy, z powstania. To ich właśnie obóz został w kwietniu 1945 uwolniony przez Dywizję. Obie strony ze wzruszeniem wspominają ten pamiętny moment. Paręset ślicznych przeważnie Pestek (nazywają same siebie Akaczki, co mimowoli miesza pojęcie kaczki z łabędziem) sprawia, że pancerniakom nie grozi kompleks koszar. Zdarzają się nawet takie niesamowite rzeczy, że żołnierze dopraszają się, błagają... o zajęcia służbowe. Rzecz jest mniej niewiarygodna i fantastyczna, jeżeli zważyć, że w kancelarii urzęduje jako telefonistka cudna panna Krysia.

Osobną wreszcie i bardzo ważną pozycją Dywizji jest opieka nad polskimi obozami cywilnymi, nie tylko w rejonie samej jednostki, ale praktycznie na terenie całego 3 Korpusu a nawet i dalej, jeżeli pozwalają środki. Oprócz słynnego Maczkowa istnieje cały szereg potężnych parutysięcznych podobnych skupisk, w których ludzie znaleźli zupełnie dobre, a czasem wręcz doskonałe warunki życia dzięki naszemu wojsku.

Inna zupełnie jest niestety sytuacja w głębi Niemiec, szczególnie pod okupacją amerykańską (nie mówiąc już o rosyjskiej), gdzie wiele szykan a nawet prześladowań spotyka Polaków ze strony oficerów amerykańskich pochodzenia niemieckiego.

Polska okupacja cząstki Niemiec („polska" nie oznacza oczywiście pojęcia formalnego, tylko faktyczne) nie przypomina w niczym rewanżu, o którym marzono wiele lat... platonicznie. Jak przyszło co do czego, nic z marzeń o niszczeniu, rabowaniu, ba rżnięciu. Nie dlatego bynajmniej, że jest surowy, absolutny zakaz. Jest wiele sposobów na obejście zakazów. Trzeba więc stwierdzić, że żołnierz polski w zwyciężonych Niemczech zachowuje się w sposób świadczący o głębokiej, instynktownej już kulturze, nie mającej nic wspólnego z kulturą zwycięskiego Niemca.

Służbowo Polak jest surowy — ale sprawiedliwy. Spotkany przez patrol po godzinie policyjnej Niemiec wie, co go czeka: 3 miesiące więzienia. Taki jest przepis, ale nie boi się kuli w łeb, albo w plecy. Prywatnie — jest Polak dżentelmenem. Żołnierze mieszkają przeważnie w zarekwirowanych wraz

z całym urządzeniem domach. Nie ma wypadku, żeby coś zginęło, zostało zepsute, zniszczone, żeby oficerowie „kolekcjonowali“ srebra, obrazy, książki, aparaty radiowe.

W stosunkach codziennych unika się kontaktu z ludnością. Każdy dla siebie. Brutalność jest wykluczona, nie z rozkazu, ale z usposobienia. Jest wskazane iść po chodniku prosto i nie ustępować miejsca Niemcowi — ale żeby do tego dojść wielu żołnierzy musiało się tygodniami trenować! Robią to z poczucia obowiązku, żeby tubylcy nie zapominali, kto jest panem, ale nie z upodobania.

A Niemcy? Są uprzejmi, łaszący się, usłużni, służalczy. Łapią w lot każdą okazję, żeby się przypodobać. Otwierają drzwi, pomagają nieść pakunki albo przybijać obwieszczenia władz, skwapliwie nadbiegają na każde skinienie szczególnie kobiety, szczególnie młode.

W Lingen, na 11-go listopada, całe miasteczko było udekorowane samorzutnie polskimi flagami!

Jeńcy nie zdemobilizowani dotąd są zatrudnieni przy rozmaitych robotach pod kierownictwem Polaków — pracują chętnie, gorliwie, z zapałem. Nie ma mowy o sabotażach, zamachach, dywersji. Większe parki wojskowe są strzeżone przez posterunki, mniejsze często wcale — ale nic im nie grozi.

A jednak... W spojrzeniu niemieckich oczu wyczuwa się coś fałszywego. Usłużność robi najczęściej wrażenie szytego grubymi nićmi podstępu. Niby żadne fakty o tym nie świadczą... jeszcze, ale trudno sobie wyobrazić, żeby i skutki wieloletniej propagandy i tak świeży jeszcze mit wszechpotęgi germańskiej miały się rozwiać bez śladu. Raczej tkwią one w organiźmie niemieckim utajone, jak syfilis. Czy i kiedy zaczną się objawiać to zależy od czasu i okoliczności. Jest to zagadnienie, z którym liczą się władze anglosaskie i francuskie.

Na razie żołnierz Pancernej czuje się tak dobrze, jak to tylko możliwe w przeciągającej się tułaczce z dala od Kraju. Widzi, że wygrał wojnę. Dla niego, dla niego jednego jest w tym część prawdy. Ta część, którą zdobył sobie własnymi rękami na wrogu. I tylko mu ciężko, że sprzymierzeńcy nie wypełnili swego obowiązku tak, jak on to zrobił.

Mimo wszystko, wbrew wszystkiemu — 1. Polska Dywizja Pancerna na postoju w Niemczech czeka na rozkaz, który poderwie ją w dalszy marsz z rozwiniętymi sztandarami i z bronią w ręku do Polski. Na to czekają wszyscy Polacy za granicami Kraju. *(Niemcy, listopad 1945)*



Zbigniew Małecki

Ćwierćwiecze filmu kulturalnego

Historia filmu w dziwne obfituje paradoksy. Film dokumentarny lub kulturalny, którego ćwierćwiecze istnienia święcimy w roku bieżącym, był zarazem pierwszym w ogóle filmem wyświetlanym przez braci Lumiére, a równocześnie — rzecz charakterystyczna — motorem pchającym wielu uczonych do zużytkowania tego wynalazku dla potrzeb wiedzy.

Długo jeszcze przed wynalezieniem filmu odczuwano, szczególnie w kołach naukowych, brak instrumentu pozwalającego zaobserwować poszczególne fazy r u c h u. Klisza fotograficzna chwytała jedynie jego fragmenty (nie zapominajmy o tym, że wówczas nie znano kamery „szybkostrzelnej“ jak obecnie), co dla szczegółowej analizy zjawiska ruchu było najzupełniej niewystarczającym. W poszukiwaniu rozwiązania tego problemu Edison wpadł na pomysł zastosowania perforowanej błony filmowej (t. j. przejścia z błon pojedyńczych jako ulepszenia płyt szklanych na taśmę przewijającą się w aparacie fotograficznym przy pomocy wałków, a co za tym idzie taśmy „uzębionej“), a Lumiére skonstruował aparaturę poruszającą tę taśmę — czyli innymi słowy: oba wynalazki w sumie dały aparat fotograficzny do zdjęć ciągłych, r u c h o m y c h. Dalszym udoskonaleniem tych prac był messtersowski „krzyż maltański“ — dziś niezbędna część aparatu projekcyjnego — który umożliwił wyświetlanie nakręconych filmów.

I teraz dochodzimy do źródła wypowiedzianego powyżej paradoksu. Nowopowstały film w konsekwencji swego istnienia i przeznaczenia m u s i a ł zająć się ruchem i jego elementami składowymi. Stąd pierwsze filmy przedstawiały np. wodospad (ruch wody), odjazd lub przyjazd pociągu, ruch uliczny, wybuch wulkanu, zakwitające i przekwitające kwiaty i t. p. — a więc to, co dzisiaj nazywa się dokumentem filmowym lub filmem kulturalnym. Lecz publiczność zachwycona i porwana nowością postawiła inne wymagania. Postulat rozrywki szerokich mas i związane z tym korzyści materialne dla producentów skierowały film na inne drogi. Miejsce filmu dokumentarnego zajęły „aktualności“ (a więc jednak film dokumentarny) jako sui generis uzupełnienie prasy. Film zaś właściwy rozwinął się w kierunku widowiska popularnego. Tu i ówdzie wyświetlano krótkie filmy pseudonaukowe (Messter i Commandon robili już zdjęcia mikroskopowe przed rokiem 1900!), lecz były to tylko „nadprogramy“, „żywe obrazy“, wyświetlane w teatrzykach i kabaretach (w tym czasie kin jeszcze nie było).

Dopiero po pierwszej wojnie światowej, w końcu roku 1919 rozpoczyna się właściwy rozwój filmu kulturalnego, takiego, jaki znamy dzisiaj. To znaczy systematyczna i naukowo opracowana produkcja filmu przeznaczona dla jaknajszerszej publiczności. Zastraszający postęp wszelkiego rodzaju chorób i schorzeń wśród ludności powojennych Niemiec spowodował potrzebę uświadomienia tej ludności w metodach walki z chorobami. Powstały w roku 1920 wydział kulturalny UFA zajmuje się wytwarzaniem tego rodzaju filmów.

Była to zwykła praca pionierska. Zaczęto właściwie z niczego. Ówczesny stan techniki filmowej nie pozwalał na pełne urzeczywistnienie planów i pomysłów kilku fantastów, którzy na balkonie berlińskiej kamienicy założyli pierwsze „biologiczne atelier". Pracownia owa pozbawiona wszelkiego wyposażenia technicznego rozporządzała jednym aparatem filmowym. Chcąc sfilmować przebieg procesu kwitnięcia kwiatu trzeba było robić zdjęcia w ciągu 50-ciu godzin (!) co dwie minuty. Stałość naświetlenia osiągnięto przez całkowite zaciemnienie atelier, oświetlając obiekt jedynie w czasie zdjęć. W dwa lata później Oddział Kulturalny UFA posiadał już prawdziwą pracownię biologiczną wyposażoną w klatki ze zwierzętami, hodowlę roślin i ryb. Powstają pierwsze filmy popularno-naukowe o sposobach zwalczania grypy i chorób wenerycznych. Publiczność przyjmuje tego rodzaju filmy nadspodziewanie dobrze i z dużym zainteresowaniem. Zachęceni tym technicy i naukowcy starają się ulepszyć technikę „kręcenia" i szukają nowych tematów. W ślad za Maurycym Stillerem (znanym także jako Victor Sjöström) film naukowy zaczyna się interesować naturą. Próbuje się filmować różne zjawiska natury, zwierzęta i ich życie. Tu jednak praca napotyka na zdawało by się nieprzezwyciężalne przeszkody. Brak odpowiednich materiałów filmowych (t. j. błon) i nieznajomość umiejętnego operowania światłem powodują szereg dziwnych wówczas trudności. Tak na przykład „nie wychodziły" na filmie kwiaty w ich naturalnym otoczeniu i oświetleniu, a raczej wychodziły ale tylko w szarych odcieniach. Czerwień płatków róży i zieleń listków wypadała zupełnie czarno lub ciemno szaro. Jeden z ówczesnych reżyserów filmu kulturalnego zmuszony był nawet przypudrować (dosłownie) poszczególne cytryny, aby w rezultacie otrzymać dobre zdjęcie drzewa cytrynowego obsypanego owocem. W przeciwnym wypadku otrzymałby kolor liści i owoców w jednym tonie, t. zn. czarnym.

Te wszystkie trudności ustały z chwilą wprowadzenia błony panchromatycznej. Odtąd były możliwe zdjęcia krajobrazowe z uwzględnieniem wszystkich, nawet najdrobniejszych cieni. Krajobraz mimo że przedstawiony dwubarwnie zaczął „żyć" i stał się niewyczerpanym tematem wielu filmów. Wprowadzenie filmu panchromatycznego miało jeszcze drugi niemniej ważny aspekt. Filmem zainteresował się przemysł szklany produkujący obiektywy. Dzięki temu już wkrótce do dyspozycji filmu naukowego postawiono obiektywy pozwalające filmować z odległości kilku lub kilkunastu metrów. Początkowo do 90-ciu, obecnie już do 500 a nawet i więcej. Do wynalazku teleobiektywu było już niedaleko. Ciekawy objektyw mógł już podpatrzyć najbardziej bojaźliwe zwierzęta bez obawy, że spłoszy je hałas filmowej kamery.

Cicha praca berlińskich zapaleńców szybko znajduje oddźwięk w innych krajach. Prawie w tym samym czasie powstają analogiczne studia we Włoszech, Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych i Rosji. Włosi specjalizują się w filmach „podmorskich", t. j. zdjęciach podwodnych flory i fauny morskiej. Francuzi wypuszczają szereg krótkich filmów obrazujących powstawanie różnych drobiazgów codziennego użytku, szczególnie pasjonując się zdjęciami maszyn wytwarzających te przedmioty lub ich poszczególne części. Rosjanie wyposażają swe liczne wyprawy polarne w aparaty filmowe i dostarczają ciekawego materiału z okolic podbiegunowych. Amerykanie w krótkim czasie obejmują przewodnictwo nad produkcją filmów kulturalnych i dokumentarnych. Film jednak ściśle naukowy pozostaje aż do chwil ostatnich wyłączną domeną niemiecką.



W Mendrisiotto. Drzeworyt Ugona Cleis, Ligornetto



Gordola. Drzeworyt Giovanni Bianconi, Minusio.

Na krótko przed tą wojną jedna z wytwórni angielskich wyprodukowała film rysunkowy ilustrujący znany wówczas na całym świecie przebój taneczny „Lambeth Walk". Film ten polegał na przedstawieniu w formie kółek, kresek i linii ciągłych idei danego utworu muzycznego, oczywiście jaskrawo i barwnie. Eksperyment ten podchwycili szybko Amerykanie i Niemcy. Walt Disney wyprodukował pełnometrażowy film rysunkowy „Fantazja" mający ilustrować wrażenia słuchacza w czasie słuchania przeżeń koncertu, Niemcy ilustrowali szereg znanych melodii muzyki klasycznej.

Polska ze swej strony poszczycić się może ciekawym i w pełni udanym eksperymentem w dziedzinie filmu kulturalnego i dokumentarnego, a mianowicie utrwaleniem na taśmie filmowej gry scenicznej czołowych aktorów teatru polskiego. W ten sposób spełniono po latach 40-tu przeszło podstawową ideę Edisona (patrz: „Od „laterna magica" do filmu plastycznego" w nr. 1 Horyzontów) w sensie dosłownym. Dodać należy jeszcze, że film przedstawiający fragmenty wielkich ról Ludwika Solskiego otrzymał w roku 1938 na dorocznym festiwalu filmowym w Wenecji złoty puchar w dziale najlepszej gry aktorskiej.

Jednocześnie z tym rozwojem szedł w parze postęp w samej technice filmowania. Zdjęcia czasowe roślin mogły być wykonywane już automatycznie (nie jak dotychczas przez ciągle dyżurujących ludzi), a w roku 1931 skonstruowano aparat, który samorzutnie filmował rosnącą roślinę, włączając jednocześnie i wyłączając reflektor i zaciemniając atelier.

Duże trudności nastręczał również problem filmu „zwolnionego". Pamiętamy bowiem, że film kulturalny powstał m. in. z chęci utrwalenia ruchu w jego poszczególnych fazach. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Po wielu uciążliwych próbach dopiero w 1923 roku udało się skonstruować łatwoporuszalną kamerę „Debrie" — do zdjęć „zwolnionych". Pozwalała ona filmować z szybkością 240-tu „klatek" na sekundę („klatka" — pojedyńcze zdjęcie utrwalone na błonie). Odtąd można było zaobserwować poszczególne składowe ruchu człowieka i zwierząt. Dla filmu kulturalnego otworzyły się nowe możliwości. A gdy w 15 lat później pojawiła się kamera Zeiss-Ikon z możliwością 1500 zdjęć na sekundę (!), badanie lotu ptaków i owadów stało się faktem dokonanym. Dziś Ameryka, przodująca obecnie w dziedzinie filmowej pod każdym względem, sygnalizuje aparat robiący 2400 zdjęć w ciągu sekundy. Praktycznie oznacza to, że pocisk karabinowy wystrzelony z lufy można zaobserwować w każdej fazie jego lotu.

Każde nowe odkrycie, często w dziedzinie dość luźno związanej z filmem, znajdowało w filmie kulturalnym niestrudzonego badacza, eksperymentatora i pioniera. Promienie Röntgena pozwoliły zajrzeć w głąb ciała ludzkiego, udźwiękowienie pozwoliło na poznanie świata dźwięków rozmaitych zwierząt i przekazało bogactwo pieśni prymitywnych ludów. Film kolorowy — barwy najfantastyczniejszych kwiatów dżungli. Połączenie kamery z teleskopem lub mikroskopem otworzyło zupełnie nowe światy. Mikroskop elektronowy w połączeniu z kamerą ukazał pracę wewnętrznych organów ludzkich. Adepci sportu mogą obserwować poszczególne fazy biegu fenomenalnego Owensa w najdrobniejszych szczegółach.

Rola filmu kulturalnego lub naukowego (aczkolwiek nastąpił tu rozdział na obydwa rodzaje) jest niezaprzeczalnie duża. Filmy te są dzisiaj potężnym

Naiwna jesień

Może po latach — gdy czas włos odmieni
i znów po drogach roztańczą się liście,
a zachód słońca na chwilę zczerwieni
zżółkłe firanki i wiatr się rozświszcze
jękliwym smętkiem u twoich okien —
w pokój gęstnącym napełniony zmrokiem

Z poświstów wichru zacznie się wykradać
coś, jak melodia — gwizdana ballada
i w szyby mgliście, jak łzami zasnute.
zacznie kołatać nieśmiało — aż tobie
oczy się nagle rozświecą i z nutą
w wicher wplątaną będziesz chciała pobiec...

Lecz wtedy żółtość spostrzeżesz firanek — — —

Noc gdzieś ucieknie i już będzie rano —
I wiatr już może przestanie zawodzić
I może biało już będzie w ogrodzie...

Ty wciąż gwizdanej szukać będziesz pieśni —
Liści tańczących po drodze w szeleście —
Szeptu pod oknem, co twarz ci rumienił,
tamtej odległej, naiwnej jesieni...

---

czynnikiem w dziele udostępnienia i popularyzowania wśród najszerszych mas publiczności zjawisk naukowych, z drugiej zaś strony potężnym instrumentem naukowym nieodzownym dla pracy badacza. Dobry film naukowy jest także wybitną pomocą szkolną w całym tego słowa znaczeniu, nie mówiąc o jego wartości wychowawczej. Wystarczy tu wspomnieć szereg filmów wyprodukowanych przez wytwórnie amerykańskie, mających na celu walkę z wypadkami ulicznymi, przestępczością, alkoholizmem i t. p., które w znacznej mierze przyczyniły się do spadku ilości wyżej wymienionych plag społecznych.

Trudno jest przewidzieć dalsze perspektywy filmu w ogóle, a filmu naukowego i kulturalnego w szczególności. Niebywały postęp w tej dziedzinie każe się spodziewać wielu jeszcze inowacyj i ulepszeń. Pozostaje już jednak faktem, że ten rodzaj filmu stał się ważnym czynnikiem w kształtowaniu naszej cywilizacji.

TAMTA...

Dziewczyno przygodnie poznana
wieczorem gdzieś na ulicy,
otul mnie w swoje ramiona,
a usta o usta niech krzyczą...

Dziewczyno z wczoraj — czy jutra,
ty jakaś tam, któraś dziewczyno,
dlaczego stajesz się smutna
i błyski w twych oczach gdzieś giną?

Dziewczyno ni zła ani dobra —
dziewczyno, co szukasz przygody,
pij krew, jak wódkę — aż do dna —
za zdrowie ciała i młodych...

Lecz nie patrz, nie szukaj i nie myśl,
ty ogień podsycaj, co gaśnie —
śnij, że w nim razem płoniemy,
że ja też płonę — ja właśnie...

Nie pytaj mnie nigdy, gdzie jestem
i czemu ma zapach przedziwny
wódka — i nie mów, że resztę
ty pijesz tylko po innej.

Ty oczy przymknij, gdy przestrach
bolesny zaczyna się rodzić,
i mów sobie cicho, że niech tam...
że przecież to wcale nie szkodzi...

O jutro także ty nie proś,
gdyż może wypłynąć z półcienia
tamta — i skończyć odwieczną
wędrówkę ku zapomnieniu...

Aleksander Wojciechowski

NOWELA BEZ TYTUŁU

Bił z początku największy, ojciec tej licznej rodziny, potem przyłączały się kolejno inne, aż w końcu cała wieża rozśpiewała się chórem dzwonów.

Ledwie zabrzmiały pierwsze dźwięki, a już drzwi kościoła otworzono szeroko. Z wnętrza ruszyła fala ludzka, spływając z szumem rozmów po kamiennych schodach cmentarza.

Na to hasło poderwali się gazeciarze, zamachali przed ludźmi swymi torbami i krzyczeli piskliwie:

— Niedzielaaa...!

— Tygooodnik Katoolickii...!

Tłum zstępował coraz niżej. Kroczyły dostojne matrony, te z pierwszych ławek przed ołtarzem, obok nich szlachetni ojcowie z Akcji Katolickiej; migały kapelusze zamożniejszych sklepikarzy, kaszkiety robotników...

Żebracze bractwo, siedzące sznurkiem pod murem cmentarza, głośniej zaczęło klepać pacierze; kaleka ruszał kikutem nogi, ślepy wydzierał się, aż mu czarne okulary spadły z nosa, epileptyk trząsł się zawzięcie. Na samym końcu siedzieli ci najmniej uprzywilejowani — zupełnie zdrowi. Niejeden z nich spoglądał z zazdrością na paralityka, który miał dzisiaj wyjątkowe szczęście. Albo ten z rakiem na twarzy, któremu nos odgnił już zupełnie — ten się teraz obłowi...

Po drugiej stronie rozłożył się szereg groźnych rywalek — żebraczek. Starowiny mruczały litanie bezzębnymi gębami, grzały się w ciepłym słonku, chwaląc Stwórcę i hojnych ofiarodawców.

— Żeby ci Pan Bóg dał zdrowie, droga paniusiu! — powrzaskiwała co chwilę któraś z tych sióstr łazarzowych. — A za czyją to duszę?

— Za Wincentego!

Wtedy zaczynała piskliwie:

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna! — dwa grosze mi tylko dała cholera — błogosławionaś Ty między nie... — szewcowa idzie, trzeba się będzie za Wojciecha modlić — rzucała szeptem uwagi swojej towarzyszce.

— Niech będzie pochwalony! — babka wyszczerzyła dwa żółte zęby w miłym uśmiechu.

— Na wieki wieków! — A przyjdziecie to dzisiaj do mnie na obiad?

— Przyńde, przyńde! Niech wam Bóg da zdrowie!

— Bo to widzicie...

Daremnie podnosiła głos. W tym niedzielnym hałasie nie można było nic usłyszeć.

— Po górach, dolinach... — wpadał w ich rozmowę śpiew paralityka. A zaraz potem:

— Biedny ociemniały prosi o wsparcie! Zlituj się li...

A gazeciarze znowu swoje:

— Nieedzielaaa...!

— Tygooodnik Kaaatoolicki...!

Przejeżdżający tramwaj, oddziały strażaków z orkiestrą, sprzedawcy lodów — wszystko to darło się, grało, dzwoniło...

— Dobrze, dobrze, dwa zdrowaśki za duszę Wojciecha! — przytakiwała skwapliwie żebraczka. Dojechała do połowy, poplątało się jej i znów zaczęła od początku. Nie szło jej jakoś.

— Diabli przygnali tu tę z parafii Pogoń — szturchnęła ją sąsiadka — już drugi raz dostaje dwadzieścia groszy!

— Aha...

A nad tym rojem ludzkim, kłębiącym się pod murami cmentarza, chwiał się majestatycznie wielki dzwon. Bił coraz wolniej, poważniej, aż w końcu stanął, zasłuchany w ostatni swój ton basowy. Wtedy z podnóża kościoła dobiegał go gwar tłumu i monotonne okrzyki:

— Ociemniały od młodości prosi o wsparcie!

— Paralityk...

* * *

Babka zsypała pieniądze do chusteczki, zawiązała na węzełek i wsunęła pod koszulę. Stękając podniosła się z ziemi.

— Robota na dzisiaj skuńczona! — rozmyślała, drepcząc w stronę bramy.

Pełna chusteczka przyjemnie łaskotała skórę. Czuła, jak kołysze się pod kaftanem woreczek z miedziakami. Starowina zatrzymała się i głaskała z lubością to swoje kochane grosiwo. Potem obejrzała się raz jeszcze na pusty plac przed kościołem, strzepnęła kurz z kiecki i poczłapała dalej.

Cień jej sunął wzdłuż murów, załamywał się na tle czysto wymytych okien, ginął we wnękach bram, by znów potem rozpocząć mozolną wędrówkę. Zmęczony stanął wreszcie przed drzwiami magazynu.

Babka obchodziła wystawę ze wszystkich stron, spoglądając z podziwem na stylowe meble, miękkie obicia, aż załzawiły się od blasku politury jej starcze, wyblakłe oczy.

— O mój Boże! Żebym to ja takie łóżko kiedy miała!

Chciała iść dalej, bo przecież musi zdążyć na obiad, ale to cudne łóżko przykuwało ją do wystawy.

— Nie wymodle go chyba do śmierci — mruczała z żalem. Uszła już kawał drogi, ale wciąż widziała przed sobą obiekt swych marzeń nieziszczalnych. Jakby to dobrze było wyciągnąć na nim stare kości...

Koło południa dowlokła się do szewcowej. Akurat zegar na wieży kościelnej bił dwunastą, gdy schodziła po wąskich schodach do sutereny. Uchyliła drzwi. W półmroku majaczyły niewyraźnie zarysy sprzętów; jedynie pod oknem widać było stół i kilka krzesełek.

— Nareszcie jesteście! Na, jedzcie na zdrowie — podsunęła jej szewcowa garnek z kartoflami.

— Ooo..., nawet omaszczone! — babka uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Cóż to, myślicie, że w tę świętą niedzielę nie stać mnie na trochę słoniny!? — oburzył się majster, broniąc honoru domu.

— Pewnie, że stać, pewnie — uspakajała go babka. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale usta, zapchane aż po ostatnie dwa zęby, nie nadawały się do rozmowy. Tylko tak z przyzwyczajenia, między jedną łyżką a drugą zaczynała mruczeć pacierz, nie wiadomo za czyją duszę.

W najciemniejszym kącie izby stał parawan. Dochodziły stamtąd jakieś szmery, szepty przyciszonych rozmów... Czasem zaskrzypiała żałośnie sprężyna wiekowej kanapy lub zachwiał się parawan, pchnięty nieopatrznie czyjąś nogą.

— Co się tam dzieje?

— A narzeczony siedzi z naszą Stefką.

— Narzeczony?...

— Cóż się tak dziwicie!? Ma prawo przecie, nie?

— Ma prawo, ma — przytakiwała z przekonaniem.

Babka odłożyła łyżkę, wyciągnęła na środek zmęczone nogi, głowę oparła o ścianę i siedziała tak zamyślona głęboko. Ciepłe jedzenie rozmarzyło ją.

— Cóż to tak podsłuchujecie? Chce się wam jeszcze? — zbudził ją tubalny głos majstra.

— A chce się, ale czego innego — westchnęła żałośnie.

— Czegoż to?

Stara przypomniała sobie wystawę i aż dech jej zaparło, tak nagle ujrzała tuż przed sobą swoje wymarzone, miękkie łóżko. Przykryte było wielką kołdrą, miało takie wysokie, puszyste poduszki...

— Co ja bym kciała... — powtórzyła za szewcem...

— No co? Gadajcie!

— A łóżko, takie mientkie, z piernatem... Oj, jakby to dobrze było legnąć se na nim i mówić litanie...

— Tego wam się zachciewa!?

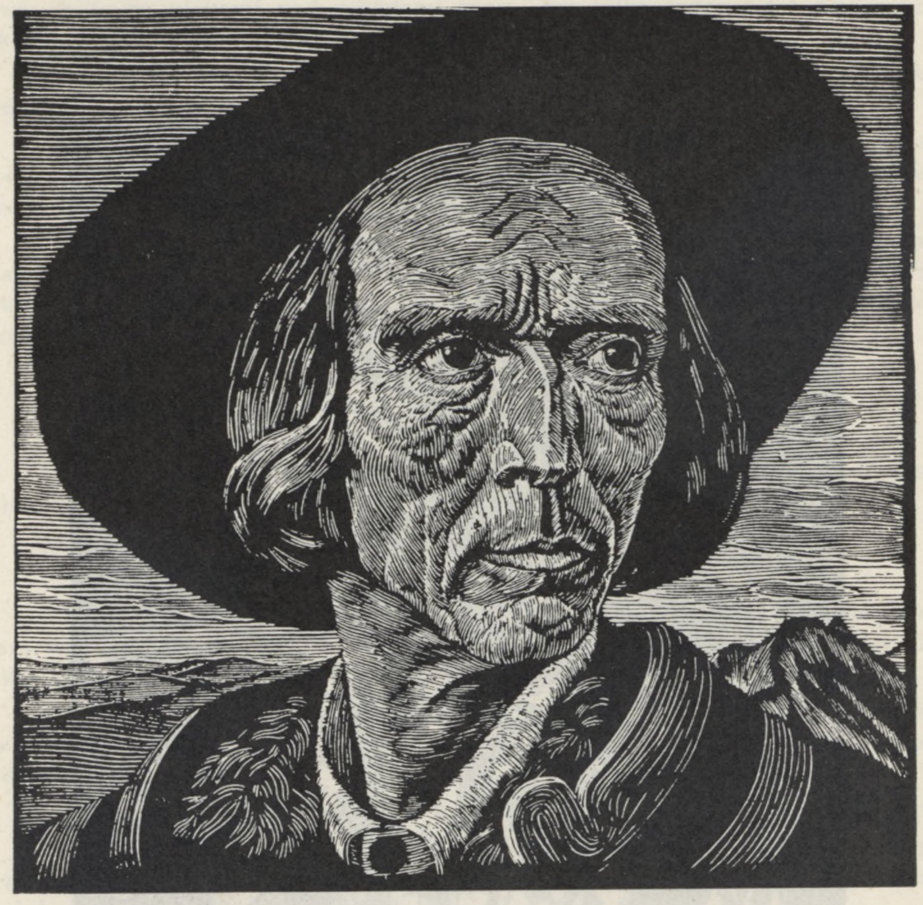
Odłożyli na chwilę łyżki i śmiali się do łez z marzenia starej. Ot, prawda, że na starość głupieje człowiek po trochu.

— Z piernatem powiadacie? A może jeszcze kogoś pod kołdrę?

— Wam to zawdy kpiny w głowie!

Odwróciła się, spoglądając przez okno. Za szybą, umieszczoną na wysokości chodnika, migotały tylko nogi przechodniów, czasami pędziły koła samochodu, sunęło podwozie tramwaju — tyle tylko świata widać było z tej piwnicy.

Dopiero pod wieczór wylazła stara z sutereny. Ruch uliczny oszołomił ją w pierwszej chwili. Zdawało się jej, że wszystkie światła latarń, neonów, okien wystawowych, samochodów, całe to morze blasków skierowane jest w jej zmęczone oczy. Oparła się o słup z ogłoszeniami i przez wąską szparkę przymkniętych powiek obserwowała wieczorne życie wielkiego miasta.



Skoczylas W.



Tyrowicz L.

W takich chwilach kiwała zawsze smutnie głową, rozmyślając o straconych zębach. Zostały jej tylko dwa ostatnie. I tak dobrze! Ta kulawa Walen towa, co to na plebanii pod schodami sypia, ma tylko jeden i też daje sobie jakoś rady. Taka to już jest starość...

W kościele dzwonili na mszę poranną, więc szybko przełknęła ostatki śniadania i ruszyła do codziennej pracy.

Zza zakrętu wyjeżdżał paralityk. Mały chłopak popychał z trudem dwukołowy wózek. Łysa głowa starca podskakiwała na wybojach, pokręcone ręce trzęsły się, nie mogąc utrzymać różańca.

— Prędzej, łobuzie, bo się spóźnie do kościoła! — poganiał chłopca. Malec przebierał coraz szybciej bosymi nogami, kaleka podskakiwał na ceratowym siedzeniu, jakiś bezpański pies dołączył się do nich i jechali tak we trzech pustymi ulicami w kierunku rozkołysanych dzwonów.

Zobaczył babkę i wołał do niej z daleka:

— Słyszeliście to, że ksiądz proboszcz wygnał swoją kucharkę?!

— A słyszałam, słyszałam! Kradła podobno.

— Iii... tam... Kościelny chodził do niej i razem w księżej kuchni sobie tego... — uśmiechnął się obleśnie.

— O jej! Co wy też gadacie!?

— A prawdę gadam! Żebym tak z tego wózka spadł!

Zbliżali się właśnie do kościoła. Dziad zatrzymał się z wózkiem na dole, stara wygramoliła się po schodach na samą górę i kucnęła tu, czekając na miłosierdzie ludzkie.

Ze smutkiem spoglądała na pusty garnuszek. Było jeszcze trochę czasu do pierwszej mszy, więc wyciągnęła swoją chusteczkę i liczyła uzbierane grosiwo.

— Pięć, siedem, osiem... — paplała do siebie, przesypując miedziaki.

Stasiek od organisty skończył już poranną robotę. Wyczyścił ojcu buty, przyniósł wodę do kuchni, pozamiatał podwórze. Teraz siedział na murze i pluł z góry na ulicę, czekając na kolegów.

Zauważył babkę. Nachylił się, patrząc zdziwiony na jej bogactwo. Przydałyby mu się te groszaki. Wystarczyłyby akurat na straszak i trochę kapiszonów. Stara i tak modli się tylko cały dzień. Nawet sobie lodów nie kupi.

Stasiek zlazł z ogrodzenia. Obejrzał się przezornie wkoło. Jeszcze nikogo nie było na cmentarzu. Jednym skokiem był już przy starej. Bez trudu wyrwał jej woreczek z pieniędzmi...

— O rety! — darła się żebraczka — oddaj to...!

Stasiek pędził szybko po schodach. Chciała go gonić... Zrobiła parę kroków, pośliznęła się i potoczyła w dół.

— Na pomoc! — darł się paralityk, wymachując książeczką do nabożeństwa.

Ze sklepu wybiegło kilkoro ludzi, zatrzymali się przechodnie, przystanął dorożkarz, patrząc z politowaniem na szarą postać, leżącą u bramy.

— Co się tu stało? — Policjant wyciągnął swój notes, zbliżając się z powagą do gromadki gapiów.

— Hej, jaki to cudny świat! Wszyscy bogaci, zadowoleni, uśmiechnięci. Nic dziwnego, przecież wszyscy mają swoje — łóżka!

Długo widać było zgarbioną postać, jak wędrowała wśród tych pięknych ulic, kierując się w stronę przedmieścia. Tam odnalazła swoją komórkę, schowaną gdzieś w głębi podwórza i stękając położyła się na garstce słomy, przykrytej postrzępioną szmatą. Gniótł ją niewygodny barłóg; czuła każdą kosteczkę, jak wpija się w żylaste ciało.

Babka przykryła się łachmanami, usiłując zasnąć. Głowa ciążyła jej coraz bardziej, oczy zamykały się powoli... Wtem sen odbiegł nagle od jej nędznego legowiska... Babka usiadła przestraszona na łóżku. Zapomniała przecież dokończyć pacierza za duszę Ksawerego i Wojciecha.

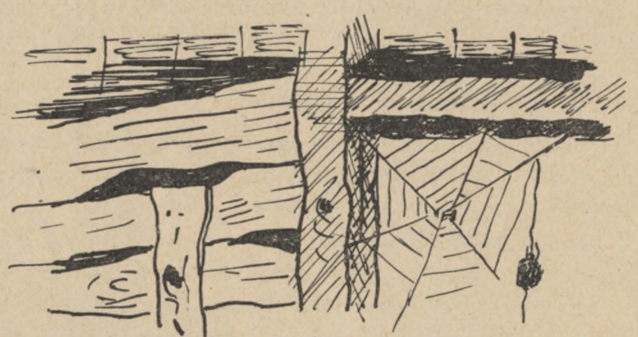
— Pieniądze toś wziena, a modlić to się nie kce! — robiła sobie gorzkie wyrzuty.

Pieniądze...? Tak, ma przecież teraz pieniądze — może jaką złotówkę, może trochę więcej...

Skostniałymi z zimna palcami dotykała woreczka, leżącego na piersiach. Oj, mocny Boże, jaki to przyjemny ciężar!...

Ma prawo, pewnie że ma prawo! — przypomniał jej się nagle narzeczony Stefki, potem ten skrzypiący materac, parawan w mieszkaniu szewca... I wtedy pomyślała o tych czasach, kiedy to i ona miała „prawo". A teraz...?

Starej kleją się oczy, wypada z rąk różaniec... W komórce słychać tylko świszczący oddech żebraczki i jakieś niewyraźne bełkotanie. Gdyby ktoś starał się zrozumieć senną paplaninę, to może usłyszałby czarodziejskie słowo — mientkie łóżko...



Pająk mozolnie prządł swoją sieć. Kołysał się zawieszony wysoko na belce, zjeżdżając powoli w dół. Przez szparę w deskach wpadł wiatr, potarł nitkę o sterczący gwóźdź i

...pająk spadł wprost na policzek, wystający spod kupy szmat. Stara machnęła ręką... Z przerażeniem otwarła jedno oko...

— Pająk!? I to zara od samego rana... Bede miała dzisiaj szczęśliwy dzień!

Uradowana dobrą wróżbą wygramoliła się ze swego legowiska. Mrucząc modlitwy poprawiała na sobie kieckę, potem wydobyła z węzełka kawałek chleba, nadrobiła do garnuszka z wodą i chlipała łapczywie rozrobioną tak papkę.

— Eee... nic... Dziadówka tylko spadła ze schodów — udzielił mu informacji uprzejmy sklepikarz.

* * *

Babka obudziła się w szpitalu. Noga, umieszczona w gipsie, nie bolała ją wcale. Brakło tylko ostatnich dwóch zębów. Nie wielka szkoda, i tak były już spróchniałe.

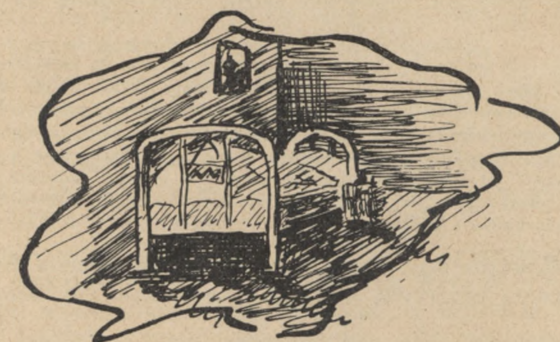
Stara nie zwracała na nic uwagi. Czuła jedynie, że leży na wygodnym posłaniu i to napawało ją rozkoszą.

— Boże, prawdziwe łóżko, takie z materacem — mruczała rozczulona.

Nawet obrazek Matki Boskiej wisi na ścianie. Zupełnie jak w mieszkaniu u księdza. Kilka lat temu, gdy jeszcze nie miała tych boleści w krzyżach, chodziła na plebanię myć podłogę. Wtedy często przerywała pracę i patrzała z lubością na ten obrazek w czarnych ramach.

Szorstka ręka gładziła poduszkę. Jaka ona miękka... Błogi uśmiech wyszedł gdzieś spod pomarszczonej skóry.

— Prawdziwe łóżko... mientkie łóżko...



GŁOSY PRASY

Zadania wysiedleńców polskich w Niemczech. Wychodzący w Brunszwiku »GŁOS OJCZYZNY« zamieścił obszerny artykuł na temat zadań wysiedleńców polskich w obecnym okresie. Oto wyjątki z tego artykułu:

Ażeby sprostać zadaniom, musimy zacząć od siebie, musimy zerwać z bezczynnością, otrząsnąć się z resztek wpływów naszych ciemiężców. Zatruli oni nasze dusze z rozmysłem, na zimno, abyśmy spodleli i nigdy nie zdołali odróżnić zła od dobra.

Musimy z naszego grona — w naszym interesie to leży — usunąć ludzi, którzy niestety weszli na drogę przestępstwa. Musimy także ukrócić działalność tych, którzy tak daleko nie zaszli, lecz idą w złym, przestępczym kierunku. Ich działanie szkodzi nam wszystkim.

Musimy troszczyć się o polepszenie warunków naszego życia. Zacząć należy jednak nie od sięgania po pomoc od innych, lecz stanąć do pracy samemu.

.....naszem dążeniem niech będzie prośba o pomoc, a nie o jałmużnę. Jeśli nasze mieszkania wymagają naprawy i ulepszeń, prośmy o narzędzia, materiały, lecz pracę wykonajmy sami. Szukajmy między sobą ludzi, którzy to zrobić potrafią, szukajmy krawców, szewców, kobiet i mężczyzn, którzy naprawią naszą bieliznę, odzież, obuwie... Jeśli zwracać się będziemy z konkretnymi prośbami, mając na celu usunięcie naszych niedomagań, pomożemy Sprzymierzonym do rozwiązania choć części ciążących na nich zadań i liczyć możemy na ich pomoc.

Na podobny temat zamieszcza artykuł pierwszy numer nowoukazującego się od 27 listopada 1945 r. w Ludwigsburgu tygodnika pod tytułem: »POLSKA«. Autor artykułu, noszącego tytuł: »Rozważania na temat bezczynności«, pisze:

Świat dotąd nie ma pojęcia, jak głęboko zniszczona została moralność człowieka przez system hitlerowski, w jakie upodlenie i zgniliznę pchnęły ludzi obozy koncentracyjne, jak bardzo wstrząsnęła nimi atmosfera okupacji, obozów przymusowej pracy itd. Jeżeli zamordowanie dziesiątków milionów ludzi w obozach koncentracyjnych było zbrodnią, która znajduje się w tej chwili na ustach całego cywilizowanego świata, przyćmiewając wszystko inne, czego dokonała Trzecia Rzesza, to bodaj conajmniej równą, a jednak napewno większą zbrodnią stało się zepchnięcie pozostałych przy życiu do nizin, w których zatracone zostały wszystkie niemal cechy człowieczeństwa i kultury.

Jednym ze skutków tego stanu jest w obozach obecna b e z c z y n n o ś ć, która stała się główną przyczyną dalszego pogłębiania się demoralizacji wśród Polaków.

Prócz nielicznej stosunkowo garstki ludzi, która zajęta jest bądź w istniejącej organizacji obozów, bądź też w formacjach armii Sprzymierzonych, większość ludności polskiej spędza czas bez żadnej pracy, otrzymując przy tym bezpłatne wyżywienie.

Bezczynność popycha jednych do pijaństwa i rozpusty, których objawy stają się między nami bardzo niepokojące. Inni chwytają się łatwych, ale sprzecznych z prawem sposobów zdobywania dobytku drogą kradzieży. Jeszcze inni dopuszczają się rozbojów, morderstw i wszelakich zbrodni.

Dlatego, konkluduje autor:

Naczelnym zagadnieniem wydaje się skierowanie tej wykolejonej masy ludzkiej na drogę konstruktywnej, codziennej pracy.

Niezależnie od tego, czy ktoś z nas wraca do Polski, czy nie — powinien poważnie pomyśleć o pracy. Dla jednych i drugich zmiana dotychczasowego trybu życia stanie się doskonałym wstępem do dalszej przyszłości, o której z całą gwarancją możemy powiedzieć jedno, że dla nikogo nie będzie usłaną różami.

Wielka misja w dzisiejszych czasach. »POLSKA CHRYSTUSOWA« w numerze 23 podaje aktualne uwagi na temat roli naszej w obecnej chwili. Oto jak autor ujmuje powyższe zagadnienie:

A jakaż dziś największa troska trapi ludzkie domysły? — Może odbudowanie? Może stworzenie rzeczy nowych i lepszych? Nie! To zdaje się być jeszcze sprawą drobną. Najbardziej niepokoi nas myśl, coby trzeba uczynić, żeby tego, co odbudujemy i na nowo stworzymy, za lat 25 czy 50 nie obrócono w perzynę. Projektów powstaje wiele.., lecz jedno tylko jest konieczne: wyzwolić ludzi z materializmu — ukazać im światy wyższe, wieczne — zwrócić ich do Boga. »Szukajcie tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydane«. Jakże słowa te są dziś na czasie.

Jeśli rozpoczynający się okres dzisiejszy ma być szczęśliwy, to u jego podstaw trzeba położyć k r z y ż — symbol wiary w rzeczy wyższe, które na ziemię przyniósł Jezus Chrystus. Oto wielka misja wszystkich skupiających się dokoła Chrystusowego krzyża — tchnąć w ludzkie dzieje n o w e g o d u c h a, którego w nas stwarza wiara.

Reakcja i postęp. Wychodząca we Francji »PLACÓWKA« (Nr. 6) poświęca rozważania wstępne używanym dziś na wielką skalę określeniom »reakcja« i »postęp«.

Pismo wskazuje, iż w 18 wieku był czas, gdy pod wpływem filozofii oświecenia, zaczęto po raz pierwszy używać tych nazw na wielką skalę. Chodziło tu początkowo o postęp techniczny. Każdy, kto reprezentował wówczas tradycje i instytucje ancien-régime'u był uważany za ostoję reakcji. Wolnomyśliciele i masońscy filozofowie 18 wieku ze szczególnym upodobaniem nazywali tak Kościół katolicki.

Ten podział na »reakcję« i »postęp« nazwany w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej w dziedzinie politycznej »prawicą» i »lewicą», przetrwał przez cały wiek. Podział ten przyjęli zwłaszcza zwolennicy teorii komunistycznej, »wyznawcy materializmu dziejowego«. Pomagali im w tym bezwiednie sami »kapitaliści«, dla których był on wygodny, gdyż stawiał po ich stronie Kościół i ludzi przywiązanych do tradycyj narodowych.

Podział ten przestarzały już i zawsze niezgodny z rzeczywistością, nawet na początku 19 wieku, stał się krzyczącym anachronizmem w dzisiejszych czasach. Zarzut »reakcyjności« Kościoła odrzucił stanowczo i wyraźnie Papież Leon XIII, przypominając w roku 1891 w Encyklice »Rerum Novarum« odwieczną naukę społeczną Kościoła. Poszła za nim w polityce cała szkoła katolików francuskich z Albertem de Mun na czele.

Równocześnie prawie w Polsce Jan Ludwik Popławski i Stanisław Szczepanowski jasno wykazali, iż obrona narodowych tradycyj i wierność misji narodowej wymaga właśnie społecznego postępu, wciągnięcia wszystkich warstw społecznych w dziedzinę życia państwowego, podciągnięcia ich w górę na wyższy poziom życia kulturalnego i materialnego, a nie »równania w dół«. Myśl Popławskiego i Szczepanowskiego, wspomagana dzielnie na polu religijnym przez niezwykłej miary człowieka, jakim był lwowski arcybiskup ks. Bilczewski — więcej zrobiła dla stworzenia z Polski nowoczesnego narodu i państwa, niż tysiące broszur. Wpływ Popławskiego i Szczepanowskiego na twórców polskiego ruchu ludowego ks. Stojałowskiege i Witosa uchronił ten ruch w znacznej mierze od klasowych przerostów i włączył go mocno w główny nurt życia narodowego.

Konkluzja autora odnośnie dzisiejszych czasów jest następująca:

Prawdziwy postęp w wygłodniałej i zniszczonej, ale duchowo niepodległej Europie, reprezentuje myśl narodów wielkich i małych, o p a r t a n a c h r z e ś c i j a ń s k i c h i k l a s y c z n y c h z a s a d a c h, myśl, która wbrew wszelkim przeszkodom, potrafi dać wreszcie po dwu wojnach światowych człowiekowi możność założenia i utrzymania mocnej rodziny, zapewni mu wolność sumienia, myśli i poglądów, swobodnego zarobkowania w państwie zorganizowanym dla dobra obywateli, a nie dla pasożytniczych biurokratów, a także podniesie jego poziom zainteresowań kulturalnych ponad troskę o codzienny chleb i propagandowe kino.

T. Jaraczewski

Wydawnictwa Bratniej Pomocy Studentów Polskich we Fryburgu
(Szwajcaria)

Zbiór polskich piosenek ludowych i żołnierskich w przekładzie na francuski i niemiecki z nutami i tekstem polskim:

A travers les Chansons de Pologne
cena 3.— frs.

Im polnischen Liedergarten
cena 3.— frs.

Periodyk literacko-naukowy:

Pamiętnik Literacki
cena 5.— frs. (Tom VII, styczeń-marzec 1946 r.)

ARTYKUŁY: Charles Journet, Zygmunt Nowakowski, Janusz Rakowski, Zygmunt Rawita Gawroński, Konstanty Regamey, Michał Trostiansky.

PROZA: Leon Chrzanowski, Aleksander Korczyński, Bronisław Miazgowski.

POEZJE: Jerzy Brzozowski, Jerzy Gajewski, Konstanty Ildefons Gałczyński, Janusz Kucharski, Władysław Łuczak.

Notatnik bibliograficzny.

Zamówienia:
Bratnia Pomoc — „La Fraternelle" Fribourg 2 (Suisse) — Case postale 14
Nabywcy poza granicami Szwajcarii mogą przesyłać należności międzynarodowymi kuponami pocztowymi (17 kuponów).

Wiosną b. r. ukaże się nakładem — The Montgomeryshire Printing and Stationery Co. Ltd. w Newtown — pierwszy, stanowiący zamkniętą w sobie całość, tom nowej książki

JĘDRZEJA GIERTYCHA

autora książek: „Tragizm Losów Polski" (1936), „O program polityki kresowej" (1932), „My, Nowe Pokolenie" (1929), „Za północnym kordonem (Prusy Wschodnie)" (1934), „O wyjście z kryzysu" (1939) i innych,

POLITYKA POLSKA
W DZIEJACH EUROPY

Książka ta usiłuje rzucić światło na skomplikowany splot zagadnień polityki środkowo- i wschodnio-europejskiej na przestrzeni dziejów i dać historyczną podbudowę pod wnioski o położeniu dzisiejszym. Jej tematem jest wzajemny stosunek sił i faktów politycznych, takich jak: Polska, Prusy, Niemcy, Moskwa, a także Austria, Basen Naddunajski, Czechy, Szwecja, Turcja, Ukraina, Morze Bałtyckie, Morze Czarne, a wreszcie Francja, Anglia i inne.

Książka wydana będzie na zasadzie przedpłaty, wynoszącej 12 szylingów 6 pensów łącznie z przesyłką pocztową. Po ukazaniu się w druku cena książki będzie podwyższona.

„Postal Ordery" wraz z podaniem adresu, pod którym książka ma być dostarczona, należy przysyłać pod adresem: Jędrzej Giertych, 16, Belmont Road, London N. 15.

PRZEGLĄD WYDAWNICZY

F. A. HAYEK: *Droga do niewoli. Weg zur Knechtschaft* (Rotapfel Verlag). *Route de la Servitude* (Libr. de Médicis, Paris). *The road to serfdom* (Routledge, London, 1945).

Profesor F. A. Hayek, znany ekonomista austriacki, ogłosił pod powyższym tytułem godne uwagi dzieło, obrazujące współczesną ewolucję socjalną Wielkiej Brytanii i wskazujące na niebezpieczeństwa grożące narodowemu charakterowi angielskiemu na skutek nowoczesnych tendencyj socjalistycznych i kierunku przyjętego przez pozostającą u steru państwa Labour Party.

W następstwie zmian spowodowanych przez wojnę oraz ostatnich wyborów Wielka Brytania, będąca dotąd narodem par excellence indywidualistycznym i liberalnym, jest dziś zagrożona w dużej mierze etatyzmem, wzrostem biurokracji oraz kollektywizmem. Dawne równanie w górę, które prowadziło do ideałów arystokratycznych, będzie obecnie zastąpione przez niwelację do poziomu średniego, a nawet w dół. Ekonomista austriacki nie wyciąga jednak skrajnych wniosków z powyższej sytuacji. Zdaniem jego naród angielski umiał zawsze przystosować się do potrzeb chwili bez zbytniej obawy przed śmiałymi inowacjami. Niewątpliwym skutkiem tych doniosłych zmian politycznych będą jednak głębokie zmiany w dotychczasowej strukturze socjalnej W. Brytanii.

Prestiż angielskiej „nobility" jest dziś jego zdaniem tylko z zewnątrz pozornie nienaruszony, lecz w istocie chodzi tu o zachowanie jedynie zewnętrznej fasady w sposób sztuczny. Sytuacja finansowa historycznych rodzin szlacheckich jest bardzo często poważnie podważona. Podatki, a szczególnie opłaty od spadków, są druzgocące do tego stopnia, iż każda zmiana właściciela majątku rodzinnego i przejście własności na syna, pociąga za sobą poważny ubytek w samej substancji majątkowej. Dawna ustawa, mająca na celu przeszkodzenie lordom w trwonieniu majątku, zobowiązuje każdego z nich do niesprzedawania swego „estate". Tymczasem utrzymanie tych domen, obciążonych w dużej części starymi zamkami (manor), kosztuje bardzo dużo, a nie przynosi prawie żadnych zysków. Na skutek tego obciążenia majątkowe nie tylko nie ułatwiają arystokratom angielskim utrzymania się na poziomie, lecz przeciwnie utrudniają znacznie ich zadania. Jeśli chodzi o nowe godności lordów, nadawane przez króla zwycięskim generałom i admirałom, mężom stanu i sławnym uczonym, to dawniej parlament przyznawał im specjalne dotacje z tej okazji, lecz zwyczaj ten — jako zbyt kosztowny — został obecnie zarzucony. Muszą więc nowi lordowie zadowolić się jedynie satysfakcją moralną, a nawet mają w związku z nominacją znaczne wydatki. Cytuje się tu często przykład sławnego żołnierza, któremu Jerzy VI pragnął nadać wysoką godność lorda, lecz który zmuszony był odmówić jej przyjęcia, ponieważ olbrzymie koszta inwestytury w kaplicy Windsorskiej przekraczały znacznie jego skromne środki finansowe.

Jest rzeczą zrozumiałą, że podczas tej wojny pewne kategorie ludzi zdobyły duże majątki w Wielkiej Brytanii. Parweniusze ci nagromadzili swe bogactwa w czasach, kiedy arystokracja angielska czyniła duże poświęcenia materialne dla dobra kraju. Zarówno arystokracja, jak i „landed gentry" (drobna szlachta) spłaciły olbrzymi trybut krwi podczas tej wojny. Około 30 „parów" z angielskiej Izby Lordów padło na polu walki, a obok nich zginęło wielu synów, braci i innych członków rodzin szlacheckich. Potomkowie domów książęcych (duke), markizów i baronów wstępowali do wojska na równi z najniższymi proletariuszami. Starsi zaciągali się do „Home Guard", a wśród młodych dziewcząt, zobowiązanych do służby pomocniczej, nierzadko można było widzieć autentyczną lady, prowadzącą samochód ciężarowy lub pracującą jako zwykła maszynistka czy jako pracownica w fabryce. Tym swoim przykładem arystokracja brytyjska zyskała sobie powszechne uznanie w kraju, i dlatego czasy powojenne zastają ją zubożoną finansowo i zmniejszoną liczbowo, lecz posiadającą nadal duży wpływ na bieg spraw narodowych. Z tego prawdopodobnie też powodu, gdy liberali za Lloyda Georga prowadzili ostrą kampanię przeciw lordom po pierwszej wojnie, dzisiejszy rząd Attlee nie zamierza naruszać przywilejów Izby Lordów. Działa tu również z jednej strony poszanowanie dla starej instytucji angielskiej, z drugiej zaś prawdopodobnie i fakt, iż w dzisiejszych warunkach arystokracja angielska nie jest w stanie przeszkodzić wprowadzeniu w życie programu socjalistów z Labour Party.

Upadek klasy arystokratycznej pociąga normalnie za sobą wzrost znaczenia większego i średniego mieszczaństwa: przemysłowców, bankowców, businessmen'ów i członków wolnych zawodów. Co do wielkiej Brytanii nie należy jednak zapominać, iż ta klasa od 400 prawie lat, a co najmniej od XVIII wieku, dzieli już władzę z posiadaczami ziemskimi.

Bogactwo swe Albion zawdzięcza co najmniej w tym samym stopniu co arystokracji, również i tej średniej klasie. Dzisiaj dąży ona do uratowania swych wpływów przez bezpośrednie wzięcie udziału w ruchu, który kieruje W. Brytanię do „nowej demokracji". Typowym tego przedstawicielem jest sam premier Attlee, który w swym przemówieniu przed kongresem amerykańskim stwierdził wyraźnie, iż sam jest „pochodzenia kapitalistycznego", podobnie jak wielu jego współwyznawców partyjnych.

Mimo tych dążeń klasy średniej wydaje się pewne, że dawne sfery kierownicze W. Brytanii będą musiały poczynić znaczne ustępstwa na rzecz bezimiennej masy, która zmierza ku górze. Jest to ewolucja nieodzowna, która — zdaniem autora — przetrwa dłużej, niż władza Labour Party w W. Brytanii. Nawet jeśli konserwatyści z Churchillem wrócą do władzy (na co stale liczą), nie będą oni mogli powstrzymać tego rozwoju. Prawdopodobnie nie będą nawet tego próbować, lecz zechcą dostosować się do niego i nadać mu właściwy kierunek. W zakresie prawodawczym nie będzie możliwym powrócenie do sprawy unarodowienia przemysłu, które uchwalą obecne Izby. Po Banku Angielskim przyjdzie kolej na pozostałe banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, gazownie, elektrownie, fabryki zbrojeń i koleje. Wprowadzi to olbrzymie zmiany w dotychczasowym życiu Zjednoczonego Królestwa. Mimo bezsprzecznych korzyści dla szerokich mas, ten nowy stan rzeczy stworzy jednak konieczność powołania nowych urzędników do administracji, co spowoduje wzrost armii biurokratów.

W dyskusjach nad planem Beveridge'a przeciwnicy tego gigantycznego przedsięwzięcia wskazują, że zabije ono całkowicie prywatną inicjatywę i zrujnuje zdolności umysłowe narodu na rzecz mierności. Na skutek „bezpieczeństwa socjalnego" prosty człowiek w Anglii nie będzie więcej interesować się swoją przyszłością oraz przyszłym losem swych dzieci. Pozostawi on wszystko państwu, które przyrzeka zadość uczynić wszystkim potrzebom swych obywateli.

Zwolennicy planu Beveridge'a dowodzą, że będzie on miał skutek przeciwny. Właśnie teraz, gdy dawne niesprawiedliwości znikną (np. ustawa szkolna), każdy będzie miał możność kształcenia się na równi z innymi, a talenty będą mogły zabłysnąć. Z wprowadzeniem nowego statutu angielskiego Foreign Office, który jest jeszcze dziełem Edena, dyplomacja przestanie być monopolem jednej kasty. Będzie można zdemokratyzować również kadry oficerskie, a w zakresie ekonomicznym dość miejsca pozostanie jeszcze dla inicjatywy prywatnej.

Wskazując na powyższe minusy i plusy, autor zaznacza, że obecne unarodowienie Banku Angielskiego nie ma charakteru konfiskaty: właściciele dotychczasowi będą całkowicie odszkodowani i mogą umieścić swe pieniądze bądź to w papierach państwowych, bądź to w jakimkolwiek przedsiębiorstwie prywatnym. Własność ziemska i nieruchoma jest również całkowicie utrzymana. W ten sposób wydaje się, że nowe reformy nie „upodlą" narodu brytyjskiego, lecz dodadzą nowego znaczenia dawnym wolnościom politycznym i ludzkim, do których każdy Anglik jest tak przywiązany.

Naród brytyjski wykazał poprzez wieki, że umie zawsze zachować istotne walory, które zapewniają mu ciągłość rasy i stawiają na honorowym miejscu wśród krajów cywilizowanych. Dlatego też końcowe wnioski autora co do znalezienia się Wielkiej Brytanii na „drodze do niewoli" nie są zbyt pesymistyczne, choć docenia on w całej pełni olbrzymie zmiany, którym ulegnie narodowy charakter angielski. (Według „Liberté" z 13. 12. 1945).

T. S.

Dr J. FR. DREWNOWSKI: *Małżeństwo doskonałe* (Wydawnictwo „Nauka Chrystusowa" Nr 42—43, do nabycia: Polish Forces C. M. F. 62, Italia).

Cykl broszur w języku polskim, poświęconych zagadnieniom życia religijnego i wydawanych przez wojskowe biuro prasowe we Włoszech, wzbogacony został nową broszurą pod tytułem: „Małżeństwo doskonałe".

Jak sam autor stwierdza na wstępie, trudno chyba dziś o temat aktualniejszy, niż sprawy płci. Naturalne popędy organizmu ludzkiego, tak przemożnie owładnęły wielkimi dziedzinami życia człowieka, iż znaczna ilość spraw przepojona jest dziś rytmem pożądliwości, w której mniej lub więcej jawnie naczelnym hasłem jest „sex appeal". W związku z tym silnym wpływem, wywieranym przez sprawy płci na ogólne życie ludzkie, różne są oceny moralne tych spraw.

Autor dzieli swą pracę na dwie części: wartości naturalne oraz wartości nadprzyrodzone.

Na pierwszych stronach autor stara się odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście sprawy płci są tak bardzo doniosłe? Odpowiedź jest pozytywna, o ile uwzględnimy całą pełnię naturalnych dążeń człowieka tj. duchowych i cielesnych. Jeśli natomiast, mówiąc o sprawach płci, ograniczymy się jedynie do strony cielesnej tych dążeń i do gry zmysłów tj. do tego, co jest wspólne innym zwierzętom, zagadnienie to będzie już raczej podrzędne, wobec nieskończenie ważniejszych wartości duchowych, jakie tu wchodzą w grę. Znaczenie strony cielesnej sprowadza się do roli środka przy spełnianiu cielesnej czynności rozrodczej oraz do roli znaku, uzmysławiającego niewidzialną łączność duchową dwojga osób.

Celem gry zmysłów w małżeństwie jest — jak wykazuje autor — osiągnięcie dwóch wielkich naturalnych celów małżeństwa: potomstwa oraz wierności. Te dwa cele naturalne wyznaczają granice, w obrębie których gra zmysłów jest moralnie dobra. Staje się ona zła, jeśli powyższe granice są naruszone, albo na skutek umyślnego zakłócenia czynności rozrodczych, albo wskutek pożądania zmysłowego bez zamiaru zjednoczenia się duchowego. Z chwilą zarzucenia tych dwóch celów strona cielesna urasta do godności samodzielnego celu, co jest zwyrodnieniem naturalnych czynności organizmu ludzkiego. Prowadzi to również do powstawania różnych skrajnych poglądów, wyolbrzymiających z jednej strony zmysłowość, z drugiej zaś strony potępiających wszelkie sprawy płci jako bezwzględnie złe. Moralność katolicka przywraca tym sprawom właściwe miejsce w ramach naturalnych.

Jeśli chodzi o osoby ochrzczone, małżeństwo posiada jeszcze trzeci cel: nadprzyrodzony, którym jest sakrament. Temu zagadnieniu poświęca autor drugą część broszury, starając się odpowiedzieć, na czym polega rola płci rozpatrywana w tej nadprzyrodzonej płaszczyźnie.

Jak wynika z tych kilku przedstawionych wyjątków, całość pracy ma podłoże „filozoficzne" i dlatego nadaje się szczególnie dla osób na pewnym już poziomie rozwoju umysłowego. Zawiera ona cały szereg bogatych i trafnych myśli, które nie sposób wszystkie tu streścić. Zapoznanie się z broszurą osobiście jest w dzisiejszych czasach, nacechowanych zwyrodnieniem i niskimi pobudkami, rzeczą ze wszechmiar polecenia godną.

T. S.

BOROWSKI Tadeusz, *Imiona nurtu*. Nakładem Oficyny Warszawskiej, 1945, Monachium, str. 36 + 6 nlb.

Nieduży tomik młodego poety, zaopatrzony przedmową Wincentego Mackiewicza (Wintyma), zawiera kilkanaście wierszy, które pozwalają czytelnikowi poznać świeży i ciekawy talent. Jest to pierwsze drukowane wydanie utworów Borowskiego, który już w pierwszych latach okupacji niemieckiej daje się poznać jako dobrze zapowiadający się poeta najmłodszego pokolenia, występujący w autorecytacjach na porankach literacko-muzycznych w Warszawie. W grudniu 1942 powielona zostaje część tych wierszy i ukazuje się w tomiku zatytułowanym „Gdziekolwiek ziemia". Odzwierciedla ona refleksy wojny i stosunek do niej jednostki. Po aresztowaniu poety przyjaciele jego wydają drugą część tych poezyj, również na powielaczu. Więzienie w Alei Szucha, na Pawiaku, pobyt w Oświęcimiu, Dautmergen i Dachau nie załamują młodego poety, który tworzy dalej, szukając poetyckiego wyrazu dla przeżyć, jakich nie szczędzi mu los. Wiersze jego krążą w odpisach wśród współtowarzyszy niedoli. Wybraną ich część wydaje wreszcie drukiem Oficyna Warszawska w Monachium.

Zbiorek jest ilustracją różnych grup tematycznych, w obrębie których poeta szuka ujścia dla swych doznań i refleksyj. Cechuje je wszystkie duża kultura literacka, zdobyta w warszawskim uniwersytecie podziemnym, gdzie Borowski słucha wykładów Krzyżanowskiego, Borowego, Szmydtowej, Suchodolskiego i Doroszewskiego.

Jeśli chodzi o stopień oryginalności Borowskiego jako poety — nie trudno jest dopatrzeć się w jego wierszach pewnych zależności, zwłaszcza formalnych, od awangardy poetów polskich ostatnich lat przedwojennych. Nie to jednak jest istotne dla oceny młodego poety. Wobec rozbujałego przed wojną kultu formy wyrazu poetyckiego trudno było 20-letniemu poecie pokusić się o oryginalność w tym kierunku. W każdym razie podkreślić trzeba duży spokój tej formy, czasem nawet nie idący w parze z uczuciowym dynamizmem treści. Powściągliwość ta jednak nie razi, a przeciwnie ujmuje i zdobywa dla się szacunek czytelnika. Treść poezyj Borowskiego — czy będą to patriotyczne liryki, czy erotyki, czy wiersze filozofujące, czy wreszcie oddające różne inne stany poety — jest oryginalna już choćby ze względu na jej odrębny zupełnie charakter. Treść ta posiada ponadto inną wartość: tomik Borowskiego jest świadectwem niezałamania się ducha ludzkiego w warunkach zabijających systematycznie człowieczeństwo przez długie lata. Moment bardzo ważny, jeśli uprzytomnimy sobie, że wiersze te stworzył młody, bardzo młody człowiek. Dzięki niemu może czytelnik łatwiej uwierzyć w nieśmiertelność Dobra i Piękna, których nic nie zdoła zdławić bez reszty. Z wierszy Borowskiego nie bije rwąca się ku słońcu młodość. Przemawia z nich człowiek, który ze spokojem okrutnego doświadczenia dzieli się z czytelnikiem skarbami swojej bogatej duszy i serca.

Graficzna strona wydania w obecnych czasach kryzysu sztuki drukarskiej może tylko ucieszyć każdego bibliofila. Jest to pierwsza powojenna publikacja Oficyny Warszawskiej, założonej w 1938 roku przez Anatola Girsa i Bolesława Barcza, a spalonej w czasie powstania w 1944 roku. Zginął w nim Bolesław Barcz. Jego współtowarzysz jednak nie poniechał dawnych planów wydawniczych. Wspólnie z Borowskim i Mackiewiczem przystępują do pracy. Owocem jej pierwszym jest książka „Imiona nurtu", odbita w drukarni monachijskiej w 3000 egzempl., którą pod względem opracowania graficznego zaliczyć trzeba do jednego z najbardziej udanych wydawnictw emigracyjnych.

E. L-s.

Dr STANISŁAW LIBEREK, *Fraternité, d'armes polono-suisse au cours des siècles. Préface du Major P. de Vallière.* Editions Musée Polonais 1946 Rapperswil, str. 163+1 nlb, cena 6 frs.

Polska i Szwajcaria — dwa kraje o różnej strukturze geograficznej, społecznej i politycznej, odmienne językiem, kulturą i przeszłością historyczną — tym są do siebie podobne, iż ponad wszystko cenią wolność. Żołnierze Legionu Polskiego we Włoszech pod wodzą Henryka Dąbrowskiego nosili na swych naramiennikach napis: „Ludzie wolni są braćmi". W brzmieniu tego hasła możnaby widzieć braterstwo Polaków i Szwajcarów.

Dr St. Liberek, autor kilku cennych prac na temat wzajemnych stosunków polsko-szwajcarskich, w swej ostatnio wydanej książce z tejże serii przedstawia ze skrupulatnością historyka a żywością dziennikarza, „korespondenta wojennego", dzieje polsko-szwajcarskiego braterstwa broni w ciągu wieków, datującego się od 15 stulecia po wiek XIX.

Czytelnik znajdzie w tej książce wiele szczegółów mało dotąd znanych, jak np. udział Szwajcarów w bitwie pod Grunwaldem również po stronie Jagiełły, a nie tylko wielkiego mistrza krzyżackiego Zakonu.

Książka Dr Liberka, poświęcona pomięci żołnierzy polskich zmarłych w czasie internowawania w Szwajcarii w okresie drugiej wojny światowej, poprzedzona jest przedmową oficera armii szwajcarskiej, majora P. de Vallière, który m. in. w pochlebnych słowach wyraża się o dyscyplinie, godności i honorze polskich żołnierzy internowanych w tym kraju. Przypomniawszy ważniejsze pola bitew, na których spotkali się ramię w ramię Polacy i Szwajcarzy, kończy on swą przedmowę wyrażeniem wiary we wspaniałą przyszłość Polski.

Książka została wydana przez Muzeum Polskie w Rapperswilu w estetycznej szacie graficznej. Autor przysłuży się niewątpliwie tą pracą sprawie zbliżenia i lepszego rozumienia się dwóch narodów, które dzieli przestrzeń a łączą wspólne idee. Niewdzięczna rola żołnierza szwajcarskiego w tej wojnie zmuszonego pilnować z bronią w ręku tych, co walczyli za wolność własną i cudzą, znajdzie w książce Dra Liberka pewną jakby przeciwwagę, przypominając czasy, gdy ramię w ramię Polacy i Szwajcarzy walczyli o wspólną sprawę, o wolność ludów.

Br. M.

Zwracamy się z prośbą o wpłacanie należności za przesłane dotychczas egzemplarze Horyzontów, wzgl. o zawiadomienie kartką pocztową administracji o nieprzysyłaniu w przyszłości dalszych numerów czasopisma.

Nadmieniamy, że nasze wydawnictwo nie korzysta z żadnych subwencyj ani zapomóg. Mimo znacznej podwyżki kosztów wydawania miesięcznika nie podnosimy ceny za poszczególne egzemplarze, jak również za prenumeratę — a przeciwnie będziemy się starać o dalszy jego rozwój przez zwiększenie objętości miesięcznika, wprowadzenie nowych działów, oraz stałe wzbogacanie jego części ilustracyjnej.

Administracja

Do Czytelników »Horyzontów«

Wobec olbrzymiego zniszczenia, dokonanego w bibliotekach, księgarniach i prywatnych księgozbiorach polskich, odczuwa dzisiaj społeczeństwo polskie silny głód książki. Starają się temu zapobiec różne instytucje wydawnicze w kraju i za granicą przez wznawianie przedwojennych wydań. Akcja ta jednak — głównie z powodu trudności na rynku papierniczym — napotyka na różne przeszkody.

Pragnąc współdziałać w odbudowie polskiej kultury czytelniczej — redakcja HORYZONTÓW przystępuje w najbliższym czasie do zorganizowania własnego wydawnictwa pod nazwą „BIBLIOTEKA HORYZONTÓW". W tym celu będziemy co miesiąc drukowali jeden tomik formatu 12 x 18,5 o objętości około 200 stron, w cenie 4 Frs. za egzempl. broszur. i 4,50 za egzempl. w oprawie płóciennej (poza granicami Szwajcarii równowartość powyższych cen) — dla prenumeratorów miesięcznika HORYZONTY, którzy zgłoszą uprzednio gotowość nabywania ukazujących się książek.

Cena powyższa jest orientacyjną i w zależności od ilości stron poszczególnych tomów będzie proporcjonalnie wyższa lub niższa.

W ramach BIBLIOTEKI HORYZONTÓW ukażą się w kolejności, którą podamy w jednym z najbliższych numerów, następujące książki:

Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz — Wybór nowel
Orzeszkowa — Cham
Sienkiewicz — W pustyni i w puszczy
Morcinek — Inżynier Szeruda
Prus — Placówka
Rodziewiczówna — Lato leśnych ludzi
Kasprowicz — Księga ubogich
Orzeszkowa — Nad Niemnem
Micinski B. — Portret Kanta (studium dotychczas niedrukowane)
Makuszynski — Bezgrzeszne lata.

Z uwagi na konieczność zorientowania się w wysokości nakładów prosimy o jaknajwcześniejsze zgłoszenia pod adresem: HORYZONTY, Revue mensuelle polonaise, Fribourg (Suisse) — Case post. 247.

Adres Redakcji: Fribourg, Case postale 247, Suisse, Tél. 21892 — Konto czekowe IIa 3219. V. Troller — HORYZONTY, Fribourg.
Wpłaty zagraniczne: przez bank w miejscu zamieszkania z poleceniem przesłania dla: Schweizerische Volksbank, Solothurn, Schweiz.

Editeur: Vérène Troller. *Redaktor:* Eugeniusz Lukas. *Administracja:* Marian Respond.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo zmian w rękopisach.
Prawa przedruku zastrzeżone. Drukarnia Vogt-Schild S. A., Soleure, Suisse.
Klisze w wykonaniu Zakładów Graficznych Pfisterer S. A. Balderstrasse 30, Bern, Suisse.

Prenumerata w Szwajcarii: rocznie 12 Frs., półrocznie 7 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.20 Frs.
Prenumerata za granicą: rocznie 15 Frs., półrocznie 9 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.50 Frs.

Cena: Prix: **1.20 Frs.** Za granicą: A l'étranger: **1.50 Frs.**

15.000,-



Twórcze ręce

doprowadzają dzieło naszych maszyn do doskonałości. Podejmujemy się każdej pracy w zakresie różnych rodzajów klisz. Projekty, rysunki, retusze, klisze wszelkich rodzajów, płyty, cylindry rotacyjne dla specjalnych celów, grawiury do tytułów książek, druk reliefowy i stalowy, stemple stalowe, wypalane, nadruki na podziałki.

PFISTERER A.G. BERN

CLICHÉFABRIK UND GRAVIERANSTALT

Czytelnicy „Horyzontów", którzy mają trudności z wpłacaniem należności za poszczególne numery, czy prenumeratę, za pośrednictwem miejscowych banków — mogą uiszczać należność w międzynarodowych kuponach pocztowych, które administracja prosi przesyłać w kopercie na adres „Horyzontów".

Pojedynczy egzemplarz	—	5	kuponów
Półroczna prenumerata	—	30	„
Roczna „	—	50	„